

# DZIS I JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 9 listopada 1947 r.

Nr 45 (102)

**TREŚĆ NUMERU:** Z poezji Nika Rostworowskiego. Mieczysław Kurzyca – Debiut. Wojciech Kętrzyński – Linia Generalna „Tygodnika Warszawskiego”. Zygmunt Wasilewski – Ptaki. W kraju. Z cyklu o kulturę prowincji. Mieczysław Markowski – „Ożenek”. Stanisław Podlewski – Bimbo. Juliusz Nowak-Dłużewski – „Straszny Dom”. Z zagadnień gospodarczych. Stefan Kisielewski – Zbrodnia w Dzielnicy Północnej. Czytelnik uważa że...

Jan Papini

# List Papieża Celestyna VI do poetów\*)

Dzieci moje

Bóg natchnął mię, aby mówić również do was, a ja Go słucham. Lecz czy są jeszcze poeci na świecie? Nie dostrzegam ich i nie słyszę nikąd głosu, na który czekam i na który może miliony, podobnie jak ja czekają na próżno. We wszystkich uroczystych chwilach dziejów ludzkości, kiedy już żywoty zostały skoszone, a narody przeorane, powstawali poeci aby wyśpiewać „epicedio” i „epinicio”: hymn zwycięstwa i psalm błagalny. Dziś cisza jest wszędzie. Nawet żołnierze nie posiadali swojej pieśni, nawet ofiarom nie towarzyszyły strofy trynodi. Po nad olbrzymim upustem krwi słychać olbrzymi krzyk lecz nie unosi się ponad nim żaden śpiew, który by wyrażał wzniośle w języku melodii nasze przerażenie i naszą nadzieję.

Może ludzie są zimni, jakby odrętwieli i pozbawieni rozumu, gdy nie wołają więcej o poetów? Lecz gdyby istniał poeta, poeta w pierwotnym i świętym znaczeniu tego słowa, odważyłby się rzucić wyzwanie nawet skamieniałej rozpacz. Zadaniem Orfeusza jest oswojenie dzikich bestii.

Ludzie nie wzywają więcej miłosierdzia poezji. A jednak nigdy więcej jak dzisiaj nie potrzeba im tego, aby byli przekształceni, zbawieni, podniesieni przez poezję. Po katastrofach w porządku materii zmian i odwetu można oczekiwać jedynie w porządku duchowym. Głos poetów był zawsze głosem ludów. Jeżeli poeci milczą, to znaczy, że i narody znajdują się jak gdyby w agonii, że nie posiadają już nawet siły, aby jęczeć.

Dlaczegoż więc ukrywacie się we własnym milczeniu w tej chwili, kiedy potrzeba by krzyku tak potężnego, aby poderwał nawet konających? Tak, widzę wśród was ludzi, którzy między sobą nazywają się poetami: wykuwaczy wierszy niezrozumiałych, którzy wyciągają słowa przypadkowe z nadzieją, zawsze zawieszoną, że znajdą terno poezji. Znakomici jubilerzy słowa, którzy znają wszystkie słowniki, wszystkie literatury i wszystkie estetyki, lecz nie wiedzą już wcale, lub nigdy nie wiedzieli, jakie jest boskie zadanie poezji. Są astrologami

liryki narcyzów: układają horoskopy wszystkiego w zodiaku realności, ale to, co kreślą na cierpliwiej karcie nie jest poezją, tylko trocinami, pilowaniem poezji.

Czy jest więc zadaniem starego Papieża pouczanie, na czym polega wasza sztuka i wasza misja? Nie mówcie: myśl Papieżu o swoich księżach i pozwól nam myśleć o naszych wierszach. Nie mówcie tego, ponieważ byłoby to większą obrazą dla was niż dla mnie samego. Jako Namiestnikowi Chrystusa zlecona mi jest troska o wszystkie dusze, również i o wasze, również i o te, które powinnicie i budzić i pocieszać. Religia Chrystusa nie zapoznaje i nie lekceważy poezji. Najpiękniejsze księgi Starego Zakonu są księgami poetyckimi; Ewangelia jest całą poematem, który zaczyna się blaskiem pastorałki, dosięga szczytu najwyższej tragedii i zamyka się płomienną apoteozą. Kościół, założony przez Chrystusa posiadał pieśni pierwiej niż systemy teologiczne i jego katedry były katedrami nie tylko z kamienia. Każdy wielki poeta był poetą chrześcijańskim, nawet gdy urodził się przed Chrystusem lub daleko od Chrystusa: Homer jest chrześcijaninem, gdy każe płakać Priamowi u stóp płaczącego Achillesa;

Eschylos, kiedy współczuje tytanowi, przykutemu na Kaukazie; Sofokles jest chrześcijaninem w miłości Antygony do ojca i brata; Wergiljusz jest problemem chrześcijańskim, kiedy zapowiada narodzenie przedziwnego dzieciątka i odnowienie świata.

Święty Grzegorz, Święty Ambroży, Święty Efreem, Święty Franciszek, na koniec Święty Tomasz opiewali w wierszach pierwszego i największego Poetę.

Ma więc prawo Namiestnik Chrystusa mówić również o poezji. Minęły te czasy, i żal mi ich, kiedy Leon X oczekiwał z niecierpliwością „Kryształy” Vida, a Paweł III wypatrywał z troską wykończenia poematu Michała Anioła w Kaplicy Sekstyńskiej. Lecz powiadam wam, że Stolica Piotrowa, jeżeli pragnie być, jak być powinna, tronem triumfującego ducha, nie może się rzec sojuszu z poetami.

Ponieważ jestem Namiestnikiem Chrystusa, nie mogę wspominać o godności i konieczności poezji inaczej niż przy pomocy pojęć chrześcijańskich. Obawiam się, że wy sami, chociaż przechadzacie się, sławni, pośród ludu, jesteście ukarani za grzech waszej pychy tym, że nie wiecie dobrze sami, co wam Bóg daje i czego od was wy-

maga. Jeżeli wszyscy ludzie, na początku i w zasadzie zostali uczynieni na obraz i podobieństwo Jego, to w was, po Świętych, najlepiej się dostrzega Jego obraz i podobieństwo Jego — nie tylko Boga - Stwórcy, ale również Boga - Odkupiciela.

Wasze dzieło podobne jest do dzieła stworzenia, ponieważ powinno nadawać kształt harmonijny beładnemu chaosowi zmysłów, uczuć i myśli, powinno oddzielać światło od ciemności, to jest sprawić, aby duch ład czyniący rozbił nad brudem materii.

Wasze dzieło przypomina niewypowiedzianą tajemnicę Wcielania, ponieważ i wy powinnicie zamykać atomy i iskry Bożego natchnienia w formy zewnętrzne i fizyczne ziemskich słów. Również natchnienie, aby zbawiać musi cierpieć w więzieniu słów, które natchnienie ujawnia, ale pomniejsza.

Waszym naturalnym językiem jest obraz. Przez nieustanne odkrywanie podobieństw pomiędzy bytami i ich wyglądem nastęrczacie nieodparcie myśl o jedności wszechświata, dla was bardziej widocznej niż dla innych, potwierdzacie braterstwo wszystkich

stworzeń przeznaczonych do tego, by zawarły między sobą pokój w chwili ostatecznego powrotu Boga.

„Katarsis” wszelkiej zgryzoły i winy, które w waszych pieśniach odbywa się przy pomocy magii piękna kojącego i podnoszącego, jest odbłaskiem ludzkim tego Odkupienia, które Syn Człowieczy zapowiada w swoich błogosławieństwach. Wy znajdujcie się, choćbyście o tym nie wiedzieli, wśród uczeni Kazania na Górze; jesteście w sferze słów ziemskich naśladowcami Odkupienia, przygotowujecie Królestwo Niebieskie.

Wobec was powtarza się, chociaż w inny sposób i w innym znaczeniu cud Zielonych Świątek. Również i wy posiadacie swoje namaszczenie, którym jest znajomość tajemnic duszy, wiedza o języku i o jego urokach. W najszczęśliwszych chwilach natchnienia, kiedy pokora przemienia się we wzniosłość, jesteście zroszeni łaską, słyszycie to co sam Bóg do was mówi i staracie się to wyrazić całą siłą artykułowanych dźwięków. Mimo ubóstwa środków i niższości natury ludzkiej wobec objawienia boskiego, udaje się wam zamknąć w waszych pieśniach często nieświadomie, cząstkę lub echo prawdy absolutnej.

Poezja jest więc oświecicielką, oczyszczicielką i odkupicielką. Jesteście, o ile chcecie nimi być, czarodziejami, ponieważ współpracujecie w cudzie podnoszenia materii ku duchowi, cierpienia ku weselu, bólu natury i rzeczy stworzonych ku śpiewowi zmartwychwstania. Poezja tak pojęta — a wszystkie inne sposoby jej rozumienia są poezji niegodne — jest jednym z najbardziej przestronnych i obszernych przedsięwzięć Chrześcijaństwa. Wy jesteście, chcecie tego czy nie chcecie, apostołami Chrystusa „in partibus infidelium”, pośrednikami pomiędzy nostalgią człowieka i obietnicą Boga. Nie potrzeba, aby wiersze wasze głosiły chwałę Chrystusa, jego Świętych i jego Kościoła; wystarczy barwa i ton i spojrzenia chrześcijanina, przy pomocy, których przedstawicie chmurę, kwiat, górę, twarz dziecka, postać kobiety. Ta chmura, przez wewnętrzną moc sztuki, przypomni nam chmurę Wniebowstąpienia, ten kwiat będzie podobny do lilii z przypowieści, ta góra będzie odbijała nieco blask góry Tabor, to dziecko będzie braciszkiem tych, które dotykały kolan Jezusa, ta kobieta,

### Wytyczne

\* \* \*

„Budować trzeba ten świat nie tylko według praw głodu, lecz w spójni z wielkim prawem miłości. Miłość jest słońcem świata duchowego. Ona jest sprawcą atmosfery moralnej, w której rozwija się cywilizacja. Do tego słońca dąży wszystko, co człowiek wolny wytwarza, godząc swój wyrost z prawem ciężenia do ziemi. Tak rosną drzewa. Cóż by z nich było, gdyby całe podawały się w korzeń?”

„Charitas wieździe swój ród z niedochodzącej do świadomości tęsknoty po najdalszych związkach z przyrodą: dyktuje ją sercu pamięć dziejów istnienia od samego Początku, gdzie pozostał Raj. Za wskazaniem tej Tęsknoty, w prostej linii, drogami Miłości dążąc, odzyskamy Raj utracony. W tym celu kazano nam tworzyć dalsze dzieje przez wiązanie się z przyszłością nowymi pokoleniami“.

Wyjątki z artykułu Z. Wasilewskiego, zamieszczonego wewnątrz niniejszego numeru.

\*) Rozdział z książki „Listy Papieża Celestyna VI do wszystkich ludzi”, która się ukazuje niedługo nakładem wydawnictwa OO. Pallotynów.

# Z p o e z j i

## Nika Rostworowskiego

### W szpitalu

Zosi Cz.

Odgarnij z czoła złote pasma,  
daj fiołkom kwitnąć pod rzęsami.

Czego tu chcesz, dziewczyno jasna?  
Twym dłońmi płatków róż aksamit,  
twym nozdrzom sinych wrzosów zapach.  
Tu pachnie tylko chloroformem.  
Jeszczebym fartuch ci zachlapał,  
sprowadził nocą sny upiorne.

Dlaczego stoisz, biała siostrze,  
i czemu właśnie tu przychodzisz?  
Czy wciąż kojarzysz brzęki ostróg  
z wyrazem żołnierza?

„Tacy młodzi.”

myślałaś może z rozrzewnieniem  
i niosłaś ku nam serca trzepot.

Czy niesiesz również ocalenie?

Czy możesz przyrzec tak na ślepo,  
że dłoń zrośnięta z automatem  
potrafi gładzić loki dziecka,  
że będzie mogła sadzić kwiaty  
i strzyc żywopłót przy tych ścieżkach,  
na których wczoraj zabijała?

Bo jeśli tak, bo jeśliś pewna...

Lecz co ci, siostrze? Ty drżysz cała.  
Nie pozwól fiołkom żrenić włędnąć.  
Za wiele takich oczu zgasło  
przez śmierć, nie słońce całowanych.

Odgarnij jeszcze raz to pasmo  
co psuje czoła kształt kochany.  
Lubię jak stoisz pod tą lampą  
i tak jak przedtem na mnie patrzysz.  
Siostrzyczko, nie potrzebny tampon,  
siostrzyczko, na co mi ten zastrzyk?

Ty dla zupełnie innych ran masz  
o wiele skuteczniejsze leki.

Twojego głosu srebrny bandaż  
na rwący ropień czuć kaleklich.

To tylko proszę cię zachować,  
o resztę nie troszcz się, dziewczyno.  
Rękę mi mogą amputować,  
zranioną duszę zajmij.

### O śmierć gwałtowna

Termometr dotąd znosi śmierci napór,  
ale szkło pęknie nim serce wybuchnie.  
Bo ciało płonie jakby było szczapą  
smolną i będzie jeszcze gorzej w truchle.

Dojrzewającym w czasach śmierci nagłej  
nie zsyłaj innej. Tę prawnie posiadli  
dziedzice ruin, którym stryk i bagnet  
przerosły pamięć o braciach poległych

Termometr tutaj nie temperaturę,  
ale historię daremnych nasileń  
w skrót ostateczny zawarł, by raz wtóry  
poznawał człowiek, że władasz zawile.

Więc proszę za nich, byś im skąpił czasu  
na myśl o gwiazdach niezauważonych,  
o ustach, których czerwień sycił piasek,  
o róż kikutach, bo właśnie las płonął.

Dokonaj życia nagłej. W termometrze  
tan rtęci losom pożarnym uchybia.  
Daj śmierć gwałtowną i nie: Od powietrza,  
od wojny... tylko konania wybaw.

jeżeli czysta, będzie podobna do Dziewicy, jeśli grzeszna do Samarytanki. Poezja jest rozproszycielką cieniów: sprawia, że się pożąda bólu w Piekło Dantego, że się kocha życie w najbardziej gorzkich pieśniach Hioba. Wszyscy poeci świata, przed Chrystusem i po Chrystusie, nawet nieświadomi lub opierający się Jemu, nie są niczym innym jak ilustratorami Ewangelii. Wielka poezja, na podobieństwo Chrystusa jest drogą, prawdą i życiem.

Poeci starożytni śpiewali przede wszystkim pieśni zwycięstwa, zwycięstwa nad nieprzyjacielem i zwycięstwa nad kobietą. Poeci, urodzeni po Wcieleniu podobni są, przeciwnie, do Jakuba: walczą w ciemnościach nocy z aniołem, nigdy nie zwyciężczy i nigdy nie zwyciężeni. Ale kiedy jutrenka zarumieni niebo można dostrzedz we wzroku poety odświeżenie anioła.

Rozumiecie teraz, dlaczego wzy-

wam również poezję do dzieła odzyskania radości świata przebitego i przybitego w ponurym cieniu kary. Powinniście przypominać spragnionym, którzy zapomnieli, o wodzie żywota, o bogactwie nieskończonym ubogich, o pięknie poświęcenia, o pociechach cierpień, o braterstwie cierpiących, o powszechnej potrzebie miłości, o potędze wybaczenia. Powinniście przedstawić w nowym świetle zbawczą wizję miasta Bożego, to jest Królestwa Bożego, które jednak mogłoby być bliskie, gdyby je ludzie dostrzegli w sobie, jak to głosi mój i wasz Mistrz. Moglibyście mieć wielki udział w tym dziele przywrócenia boskości w człowieczeństwie, w tym skutecznym tłumaczeniu Ewangelii, bez którego nie jest możliwe ocalenie z tej otchłani oszalałych płazów, w którą przekształciła się ziemia.

Przeście więc być biegłymi kaligrafami waszych skostniałych fantazji, trzeźwymi dystylatorami

napojów, które nie upajają, tkaczami nudy. Stańcie się znowu tym, czym z woli Bożej mieliście być i być macie: wyswobodzicielami od zgrzyot codziennych, zaufanymi przyjaciółmi cichych serc, tłumaczami jawnych cudów i prorokami, którzy będą podtrzymywać człowieka przy wspinaniu się ku jego prawdziwej ojczyźnie. Za długo trwa milczenie. Wasza nieobecność jest jednym z najgroźniejszych znaków zmierzchu najwyższych wartości. Jako Namiestnik najbardziej boskiego z poetów mam obowiązek przypomnieć również i wam obowiązek was własny — abyście byli głosem niemych. Wzywam również was, ponieważ Bóg was wzywa w imieniu Swego miłosierdzia, ponieważ człowiek swojej was samym milczeniem swojej rozpaczy.

Celestyn VI Papież  
Sługa Sług Bożych  
(t. A. D.)

### Mieczysław Kurzyna

## Debiut

Jeżeli praca publicystyczna wymaga zawsze od piszącego poczucia odpowiedzialności, to pisanie recenzji książkowej nakazuje badać, że w większym jeszcze stopniu liczyć się z każdym podanym słowem. Rzecz staje się tym ważniejsza, im młodszy jest autor omawianej książki, im więcej przywiązywać on będzie wagi do wypowiedzi na swój temat. Z reguły najpoważniej traktowane być powinno omawianie debiutów, gdyż stosunek recenzenta do nich właśnie wpływa niejednokrotnie w sposób decydujący na dalszą twórczość autora.

Nie potrzeba chyba przekonywać nikogo, że w chwili obecnej dzieje się na ogół zupełnie inaczej, że właśnie recenzje z prac autorów rozpoczynających karierę literacką traktowane są na ogół powierzchownie i tym samym wyrządza się niejednokrotnie literaturze i twórcy poważną krzywdę. Recenzenci, ograniczając się na ogół do szeregu własnych impresji niewiele trzszcząc się o analizowane zjawisko literackie.

Te wszystkie uwagi przychodzą na myśl w chwili rozpatrywania pierwszego tomiku wierszy Nika Rostworowskiego<sup>1)</sup>. Zbiorek zawiera 24, przeważnie krótkie, utwory i jest bilansem dotychczasowej, rozrzuconej po czasopiśmie pracy poetyckiej. Wydaje się, że jest także bilansem rozwoju osobowości autora. Tematyka utworów obraca się wokół lat życia, oplata je, staje się dokumentem przeżyć od chwili uzyskania samoświadomości aż do dojrzałych prób rozwiązywania zagadnień ogólnych, z którymi wypadki związane były poetę. I to, co uderza jako rys zasadniczy postawy Rostworowskiego, to właśnie temperament liryczny, który mniej lub bardziej udolnie, wywalała się w formie artystycznej.

Zbiór wierszy Rostworowskiego rozpoczyna prosty liryk, zwrócony do Anioła Stróża i matki. Pierwsze jego słowa: „Odpływa w mrok dziecienny pokój i szyby zapatrzane w ogród”, mogą być uważane nie tylko za inwokację wiersza „Anioł Stróż”, ale także za wstęp do całego zbioru, za motto do rozpatrywanej postawy Rostworowskiego.

Dla niego istotnie dziecienny pokój odplynał niedawno i echemi swoimi sięga w życie i twórczość. I dobrze się stało, że w zbiorze znalazło się kilka nawet słabszych utworów młodzieńskich, bo w tym bilansie mają one swoje znaczenie

jako klucz do zrozumienia osobowości twórczej poety.

Idąc dalej śladami przeżyć autora napotyka się szkolne nieco wiersze „Diana” i „Sonet”, niedopracowane jeszcze artystycznie, ujęty w gramatyczne rymy, zawierające już jednak zadatek własnego wyrazu poetyckiego. To, co uderza jako rys zasadniczy tej młodzieńczej twórczości, to właśnie szczerość, bezpretensjonalność przeżyć, wyzbycie się snobizmu, o które nieraz tak trudno w poezji.

W miarę przewracania kart książki narasta problematyka i skala odczuć poety. Już nie dziecienny pokój, a problem „siebie”, problem pogoni za własną osobowością staje się kwestią życiową autora (słaby formalnie wiersz „Tramp”). Podobny charakter będzie miał liryk „Jesienią”, a później po retardacji czystych i ogromnie świeżych erotyków („Anna”, „Granatowy Koncert”), przejdzie do spraw okopu, okupacji, życia i losu narodu, („Zakazana audycja”, „Noc na przyczółku”, „Warszawa”), by poszukiwać rozwiązania polskiej tragedii w Don Kichocie i błagać Boga o odpowiedź w „Jezusie Uśmiechniętym”. I nie można mieć pretensji do poety, że jego pogląd na świat nie jest jeszcze zamknięty w system, że jego postawa polityczna nie dochodzi do wymiarów programu. Ostatecznie poezja zawsze jest funkcją, a nie formułowaniem postawy autora i rozpatrywana jako zasadniczy przedmiot badania literackiego, z pominięciem natłuwu biografizmu i „programowości”, może nie zawieść odpowiedzi, których wymagamy od filozofa czy polityka.

Gdyby jednak spróbować określić na podstawie tych właśnie wierszy osobowość poetycką Rostworowskiego, to uderzy głęboki nurt humanizmu i zasadniczy dogłębny związek z katolicyzmem. Naturalnie można by położyć specjalny nacisk na chwilę buntu, która w wierszu „Jezus Uśmiechnięty” w takiej tercynie wyraża Rostworowski:

„Do Matki się uśmiechasz. Synu,  
a u nas krematoria dymią,  
Dlaczego, Ojczy Nasz??!

Wszak prócz Betlejem jest Oświęcim,  
gdzie jasnowłose, jak Ty dzieci  
okrutny cierpią gwałt...”

Nie wolno jednak zapominać o zakończeniu tego właśnie utworu, gdzie Chrystus — Bóg staje się znowu jednym z nas, cierpi, jak my i każda nasza lęga czuje, jak własną. I ten akcent wydaje się właśnie nie chwilowy, właśnie najbardziej zasadniczy.

Srodki wyrazu artystycznego, którymi posługuje się Rostworowski, dostosowane są do prostej zawartości myślowej i uczuciowej jego poezji. Mamy tu do czynienia z obrazowaniem, pozbawionym ozdóbek, a wyrazistym i przemawiającym do odbiorcy. Pomijając pewne nieudolności, jakieś naloty rutynizmu warto choćby podkreślić doskonałe użycie przymiotników dla stworzenia wizji opisywanej sytuacji, zarówno optycznej, jak i wyobraźniowej. W wierszu „Do Przyjaciela” Rostworowski mówi o „zbyt wąskich polanach Kampinosu” i w tym sformułowaniu od razu jest zawarta zarówno sytuacja oddziały bojowego, jak i charakter puszczy, która stanowiła teren walk partyzanckich. Trudno oprzeć się chęci przytoczenia, jako ilustracji powyższej tezy, dłuższego nieco urywku wiersza „Z okopu”:

„Kiedyś... już dawno, przed wickami  
był dom i darń pachniała miętą.  
Ule. Szeregi jasnych uli,  
Gdzie się odprawiał nieszpór pszczeł,  
Brzaski Iniane płońca słońcem bielili,  
w sieni się indyk bałagulił  
z dziewczynką jeszcze bardzo młodą  
o zalekzionych oczach sarny.  
Matka krajała bochen czarny  
i miała serce jak plastr miodu.  
W pobliskim sadzie czereśniowym  
rozświegotanych trznadli szczebioł  
i przyciszone bab rozmowy,  
gdy oczyszczały grzędy z lebiód”.

W skali odczuwania poetyckich niepoślednie miejsce zajmuje niebo jako konkretny granatowy pół gwiazdami zarosłych, na których przechadza się żółty turysta tramp i waga-bunda księżyc. I znowu odnosi się wrażenie, że dla Rostworowskiego nie jest to obraz konwencjonalny, że mamy tu do czynienia ze szczerym odczuciem, w którym słowa są może chwilami banalne, ale którego treść jest już własna.

Forma zewnętrzna zbioru, to proste, najczęściej ułożone w czterowerszowe strofki, wiersze sylabiczne, w których rytmie autor czuje się na ogół dość swobodnie. Tam, gdzie próby wypowiedzi wyrażone zostały w formie bardziej kunsztownej (sonet), opracowanie materiału poetyckiego jeszcze zawodzi. W całości zbioru uderza duża starannością w doraniu rymów, obejmując bogatą skalę aż do rymów asonantycznych.

Sumując, omówiony debiut jest z pewnością poważnym twórczości i wydaje się, że jeżeli szczerość odczuć poetyckich zostanie utrzymana i znajdzie zewnętrzny oryginalny wyraz formalny, będziemy mogli mówić o nowo powstającym talencie.

<sup>1)</sup> Nik Rostworowski: Wiersze. Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, 1947 r. str. 45.

Wojciech Kęrzyński

# Linia Generalna „Tygodnika Warszawskiego”

W setnym (42) numerze „Tygodnika Warszawskiego” ukazał się artykuł redakcyjny, charakteryzujący generalnie poglądy wyznawane przez zespół publicystów i działaczy, redagujących to czasopismo. Najwyższy był czas ku temu. Brak skonkretyzowanej postawy programowej, niejasność wielu sformułowań, „różne zakręty i nierówności”, po których „Tygodnik Warszawski” dotychczas zmierzał, jak wyznaje to szczerze zresztą sama redakcja — były to od dawna przyczyny trosk najpoważniejszych nawet katolickich krytyków współczesnej publicystyki.

„Tygodnik Warszawski” powstał mniej więcej jednocześnie z „Dziś i Jutro”, więc na jesieni 1945 r., przeszło pół roku po wyjściu pierwszego numeru „Tygodnika Powszechnego”. Przed redakcjami nowopowstających wówczas pism katolickich istniał więc ważki problem do rozwiązania — jaką wziąć na siebie rolę, w całokształcie zadań publicystyki katolickiej. Jedynym zaś wzorem i jedyną podstawą porównań był wówczas „Tygodnik Powszechny”.

## WOKÓŁ „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

„Tygodnik Powszechny” zajął w polskiej publicystyce katolickiej miejsce zupełnie specjalne i jedyne. Stał się bowiem de facto pismem reprezentującym generalnie całość obco katolickiego. Przywilej ten zdobył sobie „Tygodnik Powszechny” nie tylko tym, że był pierwszym, który rozpoczął swą pracę w chwili, gdy opinia katolicka, zdeorientowana wypadkami wojennymi, często nie wiedziała jakie zająć stanowisko wobec bieżących wydarzeń; nie tylko tym, że posiadał podpis wydawniczy Kurii Książecej, cieszącej się najwyższym autorytetem w społeczeństwie. Pozycja „Tygodnika Powszechnego” utrwaliła się dzięki temu, że zdołał on skoncentrować na swych łamach szeroki wachlarz pisarzy i publicystów, że starał się zagadnienia poruszane analizować obiektywnie, unikał sformułowań skrajnych, które by mogły czynić szczyby w reprezentowanym szerokim froncie opinii katolickiej. Postawę tę usiłuje „Tygodnik Powszechny” utrzymać i dziś, choć opinia katolicka od roku 1945 zróżniczkowała się znacznie. Należy życzyć mu też jak najszczerzej, by tę postawę potrafił utrzymać jak najdłużej. Zależy to tylko od woli redaktorów realizowania nadrzędnej linii pisma ponad własnymi, osobistymi przekonaniem.

Rola „Tygodnika Powszechnego” jest, jak to stwierdziliśmy — jedyna. Żaden inny zespół nie ma dziś warunków ku temu, by móc tę rolę dublować. Przede wszystkim dla tego, że nie ma dziś odpowiednich warunków dla wytworzenia wokół takiego pisma odpowiedniej atmosfery, następnie dla tego, że publicystykę katolicką polską nie stać dziś na budowanie dwóch różnych, a tak szerokiej w zasięgu zespołów. Byłoby to powtarzanie tych samych nazwisk i tej samej treści tylko w gorszym wydaniu. „Tygodnik Warszawski” mógł w roku 1945 wybrać tylko dwie drogi. Jedną, to jest ta, po której dały konsekwentnie od początku „Dziś i Jutro” — droga formułowania we własnym zakresie i na własną odpowiedzialność katolickich wytycznych społecznych, kulturalnych i politycznych. Droga walczenia wewnątrz własnego obozu o właściwą postawę, rezygnując jednak z ambicji wydawania sądów autorytatywnie i w imieniu całego społeczeństwa katolickiego. Druga droga — to podjęcie się trudnego zadania popularyzowania doktryny katolickiej, pełniąc na tere-

nie stolicy tą odpowiedzialną rolę, którą gdzie indziej, lepiej czy gorzej zresztą pełnią — „Niedziela”, „Głos Katolicki”, „Tygodnik Katolicki”, czy „Ład Boży”.

Z analizy treści 100 numerów „Tygodnika Warszawskiego”, potwierdzono zresztą wypowiedzią redakcji wyznika wyraźnie, że redakcja próbowała jednak i mimo wszystko podjąć się zadania nie tylko dublowania, lecz i w pewnej mierze poprawiania „Tygodnika Powszechnego”. W niepozabawionych swoistego wdzięku wywodach stawia się redakcja „Tygodnika Warszawskiego” obok „Powszechnego”, stwierdzając formalną równorzędność w autorytatywności wypowiedzi, dodając zaś pod własnym adresem tego rodzaju cechy charakterystyczne, jak „bardziej syntetyczny”, „bardziej maksymalistyczny”, „bardziej bojowy”, a nawet — „bardziej dalekowzroczny” (Gdy „Tygodnik Powszechny” wytyczył i obwarował pozycje katolickie... „Tygodnik Warszawski”... zaczął rysować przed oczyma czytelników określoną wizję chrześcijańskiej cywilizacji przyszłości“).

Wydaje się nam to porównanie zbyt ambitne i zbyt niedokładne. W istocie „Tygodnik Warszawski”, mimo niedomówionych sugestij nie reprezentował nigdy, ani formalnie, ani faktycznie całości katolickiej opinii publicznej. Ani zakres problemów, ani waga nazwisk ani autorytet wydawnictwa tego nie potwierdza. Wydaje mi się też, że byłoby dla samego pisma znacznie lepiej, gdyby swe wypowiedzi nie stawiał na tak wysokim piedestale. Miałyby znacznie większą wartość użytkową. Zrezygnowawszy z pożytecznej roli pisma popularyzatorskiego powinien był stanąć „Tygodnik Warszawski” na tej samej płaszczyźnie formalnej co „Dziś i Jutro”. Nie zdobył się jednak na konieczną odwagę dla głoszenia poglądów na własną odpowiedzialność. Próbował czynić to samo pod płaszczykiem wypowiedzi „autorytatywnych”. Dla tego też bywały blade. Nie posiadały ani wagi ani oryginalności sformułowań środowisk, szukających rozwiązań na własną odpowiedzialność.

Wydaje się nam, że póki „Tygodnik Warszawski” między tymi dwoma ewentualnościami ostatecznie nie wybierze będzie niestety skazany w dalszym ciągu na drogę pełną „zakrętów i nierówności”, ku niewątpliwiej stracie publicystyki katolickiej.

## DWA CZY TRZY OBOZY ŚWIATOPOGŁĄDOWE

Od charakterystyki postawy formalnej „Tygodnika Warszawskiego” przechodząc do dokonanej próby sformułowania jego linii generalnej, musimy niestety stwierdzić, iż były one stanowczo zbyt „generalne, zbyt ogólnikowe w stosunku do potrzeb. Czas bowiem reprezentowane poglądy wyrażać rzeczowo, konkretnie. Trudno dziś ograniczać swą linię generalną do takich truizmów, jak stwierdzenie konieczności akcentowania „nierozzerwalnej łączności narodu polskiego z Kościołem od św. Wojciecha aż do epoki współczesnej”, „niezlomną wiarę w możliwość pełnego chrześcijaństwa”, gdyż te i podobne sformułowania stanowią własność absolutnie wszystkich katolickich środowisk, i zostały już rozpozyszczone w dostatecznej mierze, by im nie potrzeba było poświęcać całej działalności „Tygodnika Warszawskiego”.

Tylko mimochodem i raczej w niedomówieniach porusza redakcja zadania istotnie charakteryzujące odrębności postawy tego pisma. Najważniejszym lecz wymagającym sta-

nowczo szerszego omówienia jest problem stanowiska światowego obozu katolickiego wobec pozostałych przeciwników światopoglądowych. W wypowiedzi „Tygodnika Warszawskiego” znajdujemy dziwną na pozór sprzeczność. Pisząc początkowo o konieczności uświadomienia społeczeństwu odrębnej, „trzeciej” postawy ideologicznej katolickiej, nie mieszczącej się ani w „schemacie liberalno - kapitalistycznym”, ani w „schemacie kolektywno - marksistowskim” — niewiele wierszy dalej stwierdza istnienie tylko dwóch idei, dwóch światopoglądów, planujących w skali generalnej przyszły byt człowieka i ludzkości, mające swój wzorzec ustrojowy, zarówno w sensie filozoficznym, jak praktycznym. Są to marksizm i katolicyzm. Więc, jakkolwiek pierwsi mówi się o postawie „trzeciego”, to w istocie widzi się tylko dwa obozy sobie przeciwstawne — katolicki i marksistowski.

Postawa ta nie jest nieporozumieniem. Waga wypowiedzi redakcyjnej nie pozwala rzecz oczywista na tak jaskrawe pomyłki. Zresztą wypowiedź ta potwierdza tylko nasze dotychczasowe obserwacje. Są istotnie środowiska katolickie, które formalnie stwierdzając istnienie trzech obozów widzą w istocie tylko dwa przeciwstawne sobie kierunki — marksistowski i katolicki. To, co zostało nazwane „schematem liberalistycznym - kapitalistycznym”, pozostaje dla nich czymś drugorzędnym, z punktu widzenia ideologicznego nie ważkim. Traktuje się ten kierunek, jako próbę rozwiązań praktyczno - ekonomicznych, którego błędy społecznie traktuje się z pobłażliwym krytycyzmem, zaś osiągnięcia z niewątpliwą sympatią. Ze wszystkich dotychczasowych wypowiedzi wynikałoby, że istotnie dla zespołu „Tygodnika Warszawskiego”, „schemat liberalistyczny - kapitalistyczny” nie posiada poglądów planujących w skali generalnej przyszły byt człowieka i ludzkości, nie posiada swego wzorca ustrojowego, ani pod względem filozoficznym, ani praktycznym — przeto w istocie nie zagraża ani faktycznie ani potencjalnie światopoglądowi katolickiemu.

Nie zamierzamy rzecz oczywista w tym miejscu rozwijać zasadniczej dyskusji ideologicznej. Do problemu podziału na obozy ideologiczne powrócimy jeszcze kiedy indziej. Narazie wystarczy stwierdzić, że nie tylko praktyka gospodarcza, lecz i również ideologia „liberalno - kapitalistyczna”, jak ją nazywa „Tygodnik Warszawski” — została niedwuznacznie potępiona przez Wielkie Encykliki Społeczne. Zapoznanie istnienia odrębnego, aktywnego obozu ideologicznego jest w chwili obecnej szczególnie niebezpieczne. Obóz materializmu liberalistycznego jest dziś w ostrym konflikcie z obozem materializmu marksistowskiego. Buduje nie tylko swój własny wzorzec ustrojowy i filozoficzny, buduje swą własną pozycję polityczną, przy czym dąży usilnie do stworzenia z chrześcijaństwa zasłony dla swych właściwych celów ideowych. Precyzując istnienia tylko jednego przeciwnika ideowego — marksizmu, stwarza się realne warunki dla istotnego otumanienia społeczeństw katolickich, odwrócenia ich oczu od niebezpieczeństw, które im grożą z drugiej strony.

Postawa katolicka musi być realna — istniejąca dziś walka dwóch światowych obozów materialistycznych zmusza nas istotnie do ustawaiania się na pozycji „trzeciej”, własnej. To stwierdzenie jest jednak najdalej od wniosku, przebijającego

przez wywody „Tygodnika Warszawskiego”, że mamy dziś jednego ideologicznego przeciwnika, a drugiego — politycznego sprzymierzeńca. Katolik, w każdej sytuacji narodowej musi wytyczać sobie własną, niezależną postawę polityczną dyktowaną interesami własnego narodu i postulatami własnego światopoglądu.

## A NASZE SPRAWY WEWNĘTRZNE?

Obok tego charakterystycznego potknięcia ideologicznego, niedopuszczalnego tym bardziej, im częściej redakcja „Tygodnika Warszawskiego” chwali się autorytatywnością wypowiedzi i kompetencją „wyznaczonych” redaktorów — uderza nas kompletny brak wszelkich postulatów w stosunku do wewnętrznych spraw katolicyzmu polskiego. Dla redakcji tej ten problem po prostu nie istnieje. Rozwój intelektualny i moralny naszej społeczności katolickiej postępuje idealnie. Osiągnięcia myśli katolickiej, piśmiennictwo, nauka, prasa, sformułowania społeczne i kulturalne nie wymagają żadnych uwag. Stan zorganizowania poszczególnych działów życia katolickiego jest doskonały. Poziom działaczy, dopływ młodych sił, ilość i jakość powołań kapłańskich — nie wymaga komentarzy. Zespół redagujący „Tygodnik Warszawski” nie ma żadnych postulatów w stosunku do wewnętrznych spraw katolickich. To dziwne i bardzo niepokojące. Rozumiemy, że „Tygodnik Powszechny”, ze względu na swe eksponowane stanowisko unika rozpraw na wewnętrzne tematy. Rozumiemy tę postawę, choć się z nią nie zgadzamy. W pominięciu tej problematyki w ekspozycji linii generalnej „Tygodnika Warszawskiego” — dopatrywać się możemy tylko przyznania, że do zabierania głosu w tej ważkiej sprawie nie czuje się przygotowany. Pozostaje tylko życzyć, by w ciągu najbliższego roku zespół ten zdołał uzupełnić te luki w swoim programie i skonkretyzował swą „linię generalną”.

Jest jeszcze jeden brak, który charakteryzuje linię generalną „Tygodnika Warszawskiego”. W podtytule tego czasopisma napisane jest wyraźnie — „pismo katolickie poświęcone zagadnieniom życia narodowego”. Podtytuł zobowiązuje. Podtytuł stwierdza zaś, że tygodnik ten zajmować się będzie nie tylko sprawami ogólnie katolickimi, lecz, i przede wszystkim — sprawami narodowymi. Dla tego jest rzeczą zastanawiającą, że redakcja charakteryzując swą linię generalną — prawie zupełnie nie poświęciła miejsca aktualnym zagadnieniom polskim.

Trudno byłoby zespołowi „Tygodnika Warszawskiego” odmawiać kompetencji w zabieraniu głosu w tych sprawach. Czołowi działacze i publicyści tego pisma nie tak dawno i nie z dobrej woli zeszli z oficjalnej areny politycznej. Skądinąd wiadome nam jest, że problematyka aktualna nadal ich żywo interesuje. Z łamów „Tygodnika Warszawskiego” prowadzą dostępnymi sobie środkami kampanię w obronie swych poglądów i politycznych nadej. Spodziewaliśmy się więc, że korzystając z okazji przedstawią publicznie swe przekonania w tej dziedzinie.

Tymczasem sformułowań politycznych brak. Wydawać by się znowóż mogło, że problematyka katolicka w Polsce ogranicza się do spraw doktrynalnych i światopoglądowych, natomiast, że problematyka polityczna jest tak prosta i tak uporządkowana, że publicystyka katolicka nie ma obowiązku zabierać głosu.

Otóż uważamy, że w chwili obecnej sprawy aktualne, palące sprawy narodowe muszą w liniach generalnych publicystyki katolickiej zajmować miejsce niemal równorzędne ze sprawami doktrynalnymi. Jest naszym oczywistym obowiązkiem przyczynić się własną pracą do konkretyzowania sformułowań politycznych zgodnych z trzeźwo pojętą racją stanu polską i propagowanie tych też w społeczności katolickiej. Nie wydaje się nam potrzebne na tym miejscu wykladać jakie są najpilniejsze i najważniejsze problemy aktualne narodu polskiego, w których publicystyka katolicka ma obowiązek opowiadać się. Wystarczy na tym miejscu stwierdzić, iż pomijanie ich jest sprzeniewierzeniem się elementarnym obowiązkowi katolika.

## W ATMOSFERZE KAPITULACJI

Jedną tylko znajdujemy tezę w artykule wstępnym, która wiąże się z konkretną problematyką dzisiejszej rzeczywistości. To twierdzenie o „trzeciej fazie działalności katolickiej w polskiej rzeczywistości”. Zdaniem redakcji w pierwszej fazie czynił katolicyzm bezskuteczne próby włączenia się w aktywizm budowania odrodzonej państwowości. Wyparty przez przeciwników ideowych próbował w drugiej choć wziąć udział w dyskusji światopoglądowej. Próba ta została stopniowana „przez trywialne napaści, którymi odpowiadają niektóre piśma”. Nadeszła więc, zdaniem redakcji obecnie trzecia faza działalności katolickiej, w której należy rozwijać własne tezy ideologiczne, bez dążenia do wprowadzania ich w życie, czy dyskutowania z przeciwnikami.

Przeciw takiemu sformułowaniu stosunku aktywności katolickiej do rzeczywistości należy się naszym zdaniem kategorycznie zastrzec. Jest ono przejawem całkowitej kapitulacji psychicznej, wyrazem najbardziej niebezpiecznego minimalizmu.

O dotychczasowych próbach „włączania się w proces odbudowy naszej państwowości” o wiele za mało pisze się konkretnie na łamach naszej prasy katolickiej. Najmniej jednak chyba zabiera głos właśnie „Tygodnik Warszawski”, stąd sąd jego w tych sprawach może być tylko bardzo jednostronny. Abstrahując jednak od tego, czy rzeczywistość obóz katolicki dał się odizolować od rzeczywistości przez przeciwników światopoglądowych, co wydaje się nam nieprawdziwe, to stwierdzić trzeba, że niepowodzenia, które nas na tym odcinku spotykają nie można tłumaczyć jedynie oporem na jakie się napotyka. Po prostu — najwidoczniej nasz aktywizm był do tej pory o wiele za mały w tej dziedzinie. Tu nie wystarczy bowiem polewywanie się na listy pasterskie i artykuły publicystyczne. Tu monetą obiegową są czyny. Sytuacja narodu polskiego bynajmniej nie pozwala na wstrzymanie się od nowych prób, na odizolowanie twórczości katolickiej, na zadowolenie się wewnętrznymi akademickimi dyskusjami. Wbrew poglądom „Tygodnika Warszawskiego” — z walki o wpływ na rzeczywistość pod żadnym pozorem nam wycofywać się nie wolno.

To samo tyczy się problemu kontaktu intelektualnego z przeciwnikami ideowymi. Niewątpliwie poziom polemik zadania nie ułatwia. Nie uważamy bynajmniej, by brak kultury wykazywany przez niektóre czasopisma i niektórych polemistów zwalniał nas od obowiązku zmuszania przeciwników do rzeczowej dyskusji na tematy ideowe i światopoglądowe. Nie jesteśmy zresztą pesy-

mistami jeśli o to chodzi. Naszym zdaniem są w obozie marksistowskim środowiska kompetentne i chętne do podjęcia dyskusyj. Wydaje się nam jednak, że więcej jest tu do zrobienia na płaszczyźnie kameralnej niż prasowej. Świadczą o tym choćby dyskusje krakowskie z ubiegłego roku, lub dyskusja łódzka po świetnym referacie Jerzego Zawieyskiego. Natomiast, w szczególności pod adresem zespołu „Tygodnika Warszawskiego” trzeba postawić zarzut, iż właśnie w Warszawie, gdzie obie strony posiadają wykwalifikowanych przedsta-

wicieli ideowych — nie doszło nigdy do zasadniczych, merytorycznych dyskusyj. Nie kto inny, a właśnie ten zespół jest odpowiedzialny za ten stan rzeczy.

Reasumując więc tę część wypowiedzi uważamy, że sformułowanie tezy o konieczności wejścia myśli katolickiej do własnego ghetta, zrezygnowania z walki o wpływ na rzeczywistość, zrezygnowania z dyskusyj światopoglądowych — jest niebezpiecznym przejawem generalnego minimalizmu. Samo przez się wyjaśnia to natomiast — dlaczego w li-

niach generalnych nie znalazło się miejsca na sformułowanie stosunku do spraw aktualnych.

Reasumując — expose generalnej linii zespołu „Tygodnika Warszawskiego” musimy uważać za wybitnie nie wystarczające. Mamy nadzieję, że inne poważne pisma katolickie uznają za słuszne też tę sprawę podjąć. Zamykając swe wywody we frazeologii nie potrafił zespół „Tygodnika Warszawskiego” uniknąć przyznania się, że czuje się zagubiony w dzisiejszej walce, nie tylko na odcinku spraw aktualnych, lecz rów-

nie i na odcinku spraw wewnętrznie katolickich. Nie należy rzecz oczywiście przeceniać wagi tej wypowiedzi. „Tygodnik Warszawski”, to nie tylko niecały katolicyzm polski, ale nawet nie reprezentacja poglądów warszawskich. Uważamy jednak za swój moralny obowiązek kardynalne błędy wytknąć, zachęcając nie mniej zespół działaczy skoncentrowanych wokół tej redakcji do podjęcia w najbliższym okresie intensywnej pracy nad dokładniejszym przemyśleniem zagadnień dzisiejszych, radząc tylko szczerze i uczci-

wie, by nie kwapili się te przemyślenia zbyt lekkomyślnie przelewać na szpalty pisma.

W wypowiedzi powyższej staraliśmy się zanalizować obiektywnie wycieczne programowe „Tygodnika Warszawskiego” z punktu widzenia interesów całości obozu katolickiego. Stosunek „Tygodnika Warszawskiego” do nas pozostawiliśmy na uboczu — gdyż na ten temat możemy tylko wyrazić nasze głębokie ubolewanie i współczucie.

Wojciech Kęrzyński

Pani Bognie z Czaplinskih Grabowskiej na pamiątkę pobytu w Wacławowie.

### I.

Sierpień 1940 roku. Czasy panowania nad światem wielkich ptaków mechanicznych.

Pogoda była niepewna, spiesząco się więc z pszenicą. Gospodarzy od rana nie było w domu. Pan Grotowski pojechał do miasteczka, gdzie z nowymi władzami wiele było zachodu, pani Beata była w polu.

Bawiący od paru dni w domu tego młodego małżeństwa profesor Dylewski rozpoczął po śniadaniu program swego dnia od tego, że zniósł z ganku leżak, kryty drelichem w czerwone pasy, ustawił go w słońcu i nasunawszy na oczy zniszczony kapelusz, z zadowoleniem się usadowił. Czuli się bardzo osłabiony.

Państwo Grotowscy są młodzi, więc nie mogą zrozumieć, dlaczego tak długo ociążał się z przyjazdem do Helenowa. Nie wiedzą, ile wysiłku potrzeba, aby przemóc w sobie potrzebę spokoju, gdy nerwy nie chcą już odbierać z zewnątrz żadnej nowości. Za dużo było nowości w ostatnich czasach. Młodość nie uświadamia sobie źródeł swojej energii i nie wie jak emakuje starym świadomością, że szacowane zdrowie utracili.

Mniejsza o dolegliwości takie jak duszność i szum w głowie, dzwoniący nieraz tak, jakby tam się gnieździł rój świerszczów; gorsze było ogólne tło melancholii fizycznej, powodowane stopniowym gaśnięciem wzroku. Dylewski miał wrażenie, że świat zaciska się koło niego i że wkrótce zamurują go nieprzenikalne ściany. Nastrajało go to elegijnie, bo stosunek jego do świata nabierał charakteru ciągłego żegnania się ze wszystkim, co go darzyło jeszcze jakimkolwiek uśmiechem.

Taka melancholia jest jak słońce, w której rozmała system uczuciowy. Pałuje się męska psycha. Dylewski wstydył się swojej tkliwości do tego stopnia, że unikał opowiadania o świeżych zdarzeniach martyrologicznych, bo mu wtedy głos śmiesznie się zatamywał. Nie mógł spokojnie znieść widoku cierpienia, zwłaszcza, gdy chodzą o kobiety i dzieci.

Otóż i w tej chwili nęka go płacz dziecka, dochodzący od strony kuchni. Dziecko wzywa matki już od dawna, a Dylewski cierpi, wyobrażając sobie stan dziecka i jednocześnie żal matki, że nie może porzucić pracy, aby do izby pośpieszyć.

Nigdy bodaj przedtem nie myślał tyle co teraz o roli macierzyństwa, aiosącego światu stała i powszechną służbę. Myślał o nim wczoraj, gdy w ogrodzie przywabiło go do drzewa gwałtowne świergolenie piskląt. Gniazda dojrzeć nie mógł, ale słyszał, piskląt było kilkoro i że męczył je opazm głodu. Wołało to o byt, a zaradzić temu musiała matka. Któż ją uczył tego obowiązku zapewnienia bytu nowemu pokoleniu? Wielka tajemnica macierzyństwa.

Dylewskiego wzrusza myśl, że wśród przyrody znalazł się w obliczu wielkiego misterium bytu na to, aby tutaj ze światem się żegnać bez rozważania tajemnicy.

Gdyby miał, dawny dobry wzrok, zapewne zadawałaby się widokiem i poetyckim podziwianiem świata zewnętrznego, czytałby zresztą książkę, grzejąc się przy słońcu, ale gdy mudił, zasłaniający oczy, staje się

### Zygmunt Wasilewski

# PTAKI

coraz gęstszy, gdy zaledwie rozpoznał obok w rabatach nagietki, a drzewa przed nim tworzą mur bez barwy i rysunku, gdy o czytaniu nie może być mowy, to pozostaje tylko robić użytek ze wzroku wewnętrznego. Wygasają zmysły, wzmagają się zaś łaknienie prawdy przed okiem ukrytej. Otaczają człowieka ślepnącego widma rzeczy, rozpoznawane raczej z wyobrażeń niż ze swej konkretności. Łatwiej o rzeczach myśleć według pojęć o ich istocie, niż według pojęć o ich postaci, przeto rzeczywistość przemienia się pomału w świat idei dostępnych jedynie widzeniu wewnętrznemu.

Kiedy Dylewski medytował tak nad swym stanem, przypominały mu się dawne lata. Widział na swej drodze okres szczytowy pełni życia, okres wyrównania w harmonii sił fizycznych i duchowych na prawach tożsamości z jaźnią. Nie rozróżniał w świadomości, co było w nim energią zmysłową, a co energią ducha, a teraz znalazł się u biguna, gdzie się żyje z kapitałem wspomnień i ze spekulacji umysłowej. Myśl pracująca jakby z dawna napędu — wiatrak bez przemianu.

Dowód to starzenia się jednostki i całej epoki, kiedy dogadza formuła Kartezjusza: „myślę, więc jestem”. Cóż z tego — mówi sobie Dylewski — że jestem, skoro już nie żyję pełnią? Państwo Grotowscy nie pytają o formułę życia. Nie tylko są młodzi, ale każde z nich ma moc zdwojoną. Wiedzą o sobie, że są, jedno od drugiego, nie tylko ze swojej myśli. On zaś jest samotny, bez żadnej afirmacji, która by go upewniła, że jego myśl jest życiem.

W tej chwili jednak profesor czuje się dobrze w słońcu. Łowi uchem każdą głos, który go w tej ciszy dochoodzi, są jednak takie, których słyszeć nie chce, mianowicie odwraca uwagę od furkotania maszyn, wykonywujących i tutaj swoje złowrogie ćwiczenia.

Niemiała ulgę sprawia Dylewskiemu okoliczność, że czarny pies, Obal, wałęsający się koło domu, uznał go za domownika. Pakt o nieagresji nastąpił wczoraj w ten sposób, że Obal, zarzuciwszy łapy na poręcz leżaka, usiłował obwisnąć i zawsze mokną morda, gościa ucałować. Profesor z trudem go zepchnął, bo pies był ciężki i zachodziła obawa, żeby go nie obrazić. Od pierwszego wejścia w chwili przyjazdu pies wydał się profesorowi dwuznaczny: za duży był i za czarny, wyglądał tak, jakby ktoś chodząc na czworkach. „Czy to pies, czy to bies?” — pomyślał jak przystało na polonistę.

Teraz Obal biegnie od kuchni skulony, przypłaczony, a za nim pokójka Joasia z patykiem. Pies umyka na ganek i chowa się pod ławkę. Iomocąc gnatami o podłogę. Joasia zaś zwracając się do profesora, mówi piskliwie:

— To niedobry pies — proszę pana. On tylko mnie się boi. Gdyby nie ja, to on by wszystko pożarł — mięso nie mięso, masło nie masło...

Dziewczynę aż rozpiera, tak by chciała się pochwalić jedyną przewagą, jaką ma w tym domu.

Potem cisza, rozłożona jednak na głosy, głosy istniejące w przyrodzie wsi na to, aby się słyszało ciszę. Dylewski z sympatią przygląda się stadu indyczek, snujących się koło niego za matką. Pochylone, zapatrzone w ziemię ustawicznie czegoś w trawie i na piasku szukają, jednostajnie popiskując na swych flegikach. Na tym upływa im cały dzień. Żeby też które podniosło głowę i rozejrzało się w świecie: szukanie pożywienia stanowi jedyną treść ich życia.

Profesor na poły drzemając — dziwna niemoc ogarnęła go na łożu — uirzał przed oczyma duszy, jak mu myśl od tego trawnika, od tej monotonnej muzyki indyczek, od tego ich głodu — biegnie w dal i gubi się w piątanie zagadnień o życie. Mało ma wiedzy o przyrodzie, tyle jednak wie, że ten poziom biologiczny, który osiągnęły ptaki, jest przyrodzony wszystkim istotom, a więc i ludziom. Nie byłoby życia na świecie, gdyby nie ten podwójny motor: głód i potrzeba rozmnażania się. Czymże jest żywot ludzki, jeśli poobcinać wszystkie jego konary dorobione przez kulturę? Zawsze to samo przez wszystkie drogi, jakimi krąży dane ziemie życie. Poziomy wyższe wiele dodają, ale nic z tego, co już mają indyczki, ująć nie mogą.

### II.

W krąg światłości, która zdawała się przyświecać myśleniu Dylewskiego, wsuwały się fakty, narzucające się tutaj uwrażliwionej uwadze. Dziecko płaczące, piskłęta w gnieździe, indyczki — wszystko kojarzyło się w myśli z wczorajszym wydarzeniem. Oto, gdy tu spoczywał, posłyszał, że za krzakami bzu, tuż obok dzieje się jakiś gwałt: kwoka prowadząca swoje piskłęta wszczęła przeraźliwy alarm. Dylewski zrozumiał, o co chodzi, dopiero wtedy, gdy jakieś ciężkie skrzydło załopotało gwałtownie, poczem nastąpiła cisza. Wionęło stąd śmiercią. Potem profesor dowiedział się, że zginęła kura. Jastrzębie robią tutaj często szkody.

We wszystkich faktach głód, ale też we wszystkich — matka, pielęgnująca nowe życie, które rozrodziła. Wia dome to sprawy, że życie ma swoje fizyczne podstawy zarówno u zwierząt, jak i u ludzi. Mało to nakładli w głowę pisarce okresu pozytywistycznego! Naukowo wykładał w powieści: Dygasiński o tym, że życie ludzkie niczym się nie różni od zwierzęcego, dziś profesora Dylewskiego interesuje przeciwny biegun rzeczy: czym człowiek wyróżnił się od zwierząt.

Jakże trudno rozwickłać, co jest pojęciem fizycznym z potrzeby żywienia się i rozmnażania, a co siłą duchową, która człowieka ciągnie w górę. Na ile to wątków rozdzielił się motyw głodu w drodze od Obala czy jastrzębia do owego ptaka mechanicznego, pędzonego w przestworza żądzą żeru. Ilek ten głód przeżył faz, zanim wytworzył system gospodarstwa, zaspakajający jego potrzeby bez tego wstydu

i upokorzenia, jakie znosi pies, chwajający się ze wstydu i strachu pod ławkę.

Profesora zajęła myśl, który też z tych dwu motywów głodu i rozplodu wziął górę w dziele tworzenia świata ludzkiego. Jak się to stało, że przybyła z pomocą genialna wynalazczość mózgu i że te pierwiastki wytworzyły nową siłę ponad - biologiczną, stanowiącą motor wielkiej cywilizacji, gdzie króluje duch, który godzi z sobą zadatki przyrodzone egoizmu i ofiary?

Do jakiego stopnia wszystko w psychice się spaja i udziela sobie mocy biologicznej, o tym świadczy mowa ptooczna pełna odkrywcości psychologicznej. Dylewski nie jest tego pewien jako niezbyt biegły językoznawca, ale wydaje mu się, że wyraz „ciekawość” ma ten sam źródłosłów, co ludowe „ciekanie” zwierząt. Głód piciowy według wzoru byłby tylko postacią wszechstronniejszego głodu w ogóle. — W doborze miłosnym mówi się też o „poznawaniu” (o „ciekawości do kobiet” w żargonie). Stąd głodu poznania główny motor zyskał nazwę „ciekawości”. Uczony filozof „dociekający” prawdy nie myśli przecież o tym, że spełnia funkcję powszechnego procesu biologicznego i że aż tam do szczytów cywilizacji proces ten sięga.

I to jest życie. Ono jest nieprzemienne. Ono sprawia, że w psychice wszystko jest we wszystkim. Ono spaja ze sobą to, co na oko wydaje się biegunowo sobie przeciwne. Ono samo sprzymierza się ze swoją przeciwnością — ze śmiercią, dającą początek nowemu życiu.

W jaki więc sposób — medytuje Dylewski — motywy psychiczne egoizmu i ofiary, tak sobie przeciwne — kojarzą się ze sobą w powszechnym głodzie życia? Dlaczego życie duchowe niesie przed sobą zwycięski sztandar miłości? A przecież miłość to ofiara, to dawanie z siebie — nie branie dla siebie. Jakże więc związać z owym dwugłosem głodu życia motywy miłości? A rodzi się ona gdzieś w głębiach przyrody, skoro widzimy ją u ptaków, składających z siebie ofiarę w obronie potomstwa? Profesor dopiero teraz się przekonał, że nie trzeba źródeł jej szukać w erotyzmie, który swoją efektywność w błąd wprowadza, myśliciele, poetów. Miłość jest powszechniejsza, nie genitalnej jest natury, naturę ma raczej genezyjską. Nie po Amorze tę naturę dziedziczy, lecz po niepokalanej Charitas, matce wszystkich dobrych — sympatycznych i ofiarnych popędów.

Charitas wiezie swój ród z niedochodzącej do świadomości tęsknoty po najdalszych związkach z przyrodą: dyktuje ją sercu pamięć dziejów istnienia od samego Początku, gdzie pozostał Raj. Za wskazaniem tej Tęsknoty, w prostej linii, drogami Miłości dążąc, odzyskamy Raj utraciony. W tym celu kazano nam tworzyć dalsze dzieje przez wiązanie się z przyszłością nowymi pokoleniami.

A gdy profesor przerzucił myśl na literaturę, zadziwił się, że tyle przeżył bez jej pomocy, korzystając

raczej z tego, co mu podsunęły ptaki. Cóż bowiem innego leżało w podstawach odwiecznego mesjanizmu, jak nie wspomnienie historyzoficzne czasów, gdy życie było rajskie i że także nastąpi? Czymże teoria genezyjska Słowackiego? Czymże myśl Platona w „Fedonie”, że to co myślimy jest przypomnieniem tego, co dusza w dawnych żywotach swoich przeżyła? A z drugiej strony ileż w dziejach myśli manowców nie do przebycia bez intuicji religijnej! A zwłaszcza ta pretensja, żeby Kupa do wytłumaczył jakkolwiek misyjność istnienia!

Prof. Dylewski w tej chwili doznał uczucia pewności, że bezwiednym natknięciem od natury drogowskazem linii magistralnej (jakby powiedziano dzisiaj: autostrady) rozwoju ludzkiego jest Macierzyństwo.

Najlepiej utrafiły w tę prawdę wyobraźnia ludzi i poetów od czasów antycznych przedstawiające Psyche we wszystkich odmianach w postaci kobiety. Z naszych poetów najbliższy prawdy był Wyspiański, wskrzeszał Hesię z pochodnią w ręku, a zwłaszcza, gdy malował skromny, ale wzruszający obraz Macierzyństwa. Poczucie tej roli kobiety w życiu ma lud, u którego kobieta, upośledzona nawet społecznie, ma sobie oddawaną rolę istoty „wiedzącej” i wieszczbiarki.

Tak jest. Człowiek żyjący jest momentem przejściowym między dawnymi a dzisiejszymi laty. A tej arki przymierza w jego głodzie wieczności sercu strażniczką jest kobieta.

Ona strzeże tego wiecznego ognia i podnieca go żarem miłości.

Stąd wniosek znaczący, narzucający się socjologii. Można nie znaleźć miejsca dla kobiety w układzie życia państwowego, które jest tylko mechanizmem; ale w życiu narciowym kobieta zajmuje z natury rzeczy miejsce pozostające. Bo tutaj życie jest ograniczone, rodowe, płynie przez dzieje pokoleniami pod auspicjami macierzyństwa.

### III.

Niemalby był kłopot, gdy profesor zestawiał swoje odkrycia przyrodnicze ze szlakiem pojęć, którym chadzał w literaturze. Odczuwał w praktyce życia pośredku między tymi biegunami brak zupełny połączeń. Fakt ten potwierdza się oczywiście w budowie społeczeństwa, sprawiając, że t.zw. inteligencja nie ma dostatecznego związku z sferami, żyjącymi w zgodzie z prawem natury. Istnieje w Polsce dotychczas jakiś antagonizm między ciałem a duchem, między biologią i ideologią, między instynktem a rozumem, ulegającym nakazowi byle jakiej mody myślenia. Pomimo znacznych zdobyczy nauki i oświaty panuje pod tym względem obskurantyzm, pociągający za sobą fatalne skutki we wszystkich dziedzinach kultury.

Dylewski zwierzył się ze swych wątpliwości pani Beacie Grotowskiej. W medytacjach jego, znaczną odgrywała rolę, jako nasuwająca się jego myśli miara istoty normalnej, umiejaczej godzić w sobie powyższe sprzeczności. Łączyła zaś go z panią Beatą pewna zażyłość literacka. Przed kilkunastu laty była w szkole uczennicą Dylewskiego, a potem, gdy uczęszczała w Warszawie na kursy gospodarstwa wiejskiego, dawała mu do czytania swoje utwory poetyckie. Miał wtedy sposobność głębszego wejrzenia w jej duszę pełną tęsknoty do nieznanego

światów, gdzieby wszystko było z ducha i dla ducha. Bywają takie ciągoty w młodym wieku, że dusza jakoby się odrywała od swojej biosfery, robiąc zawód społeczeństwu, oczekującemu od młodych użytecznej pracy.

Należał przeto profesor do wtajemniczonych w życie wewnętrzne pani Beaty. Panna z domu ziemiańskiego, przeznaczona do pracy na roli, w chwilach lirycznego wzruszenia usiłowała zdać sobie sprawę ze swego uczucia życiowego. Rozdawało się ono na dwa bieguny. Ambicjom, że spełni godnie obowiązek rodowy i społeczny, stawiała na przeszkodzie nieokreślona tęsknota do wolności w przeżyciach duchowych idealnej natury. Słyszała w duszy jakieś wołanie ze światów pozazmysłowych i wydawało się jej, że zamiast serca ma w tym miejscu zepsuty zegar, który inaczej bije, inaczej wskazuje.

Dylewski w jej wierszach, pełnych szczerzej prostoty, wyczuwał cierpienie, z tym większym przeto uznaniem dla jej charakteru, podziwiał pogodę, jaką rozciągała dokoła swoją równowagą i dobrocią. To już nie był romantyzm, którego ślady literackie widniały jeszcze w utworach; ów romantyzm wybujałej osobowości, gardzący rozsądkiem doświadczenia. Ale z drugiej strony autorka daleka była od materializmu doby późniejszej, tu maczającego wszystko na mowę praw głośno rządzących dziejami. Dylewski widział w tych wierszach dążenie do syntezy człowieka nowoczesnego, piękny wykwit duszy polskiej, właściwy młodej generacji. Radował się tedy widokiem tego typu i pełen był sympatii dla młodej osoby, która swoją promiennością tłoczyła go mrok rozświećlała.

Pani Beata pomimo bezustannych zajęć gospodarczych znajdowała co dzień trochę czasu, aby przysiąść koło profesora z książką. Czytała urywkikami świeżo wydaną powieść Świdorskiej o życiu Zygmunta Krasińskiego. Stąd narzuciło się pamięci owo twierdzenie z „Przedświt” o polarności zjawisk życiowych, które tak płałało się Dylewskiemu w rozważaniach. Wywodziły się przy lekturze rozmowy, w których profesor się ożywił, gdy pani Beata, sama szczerząca słów, wyciągała go na wyznania, stawała się mówiacem przewodniczką.

Czuł potrzebę wytłumaczenia się ze swej tliwości dla kobiet i robił to ze szczerością pełną zaufania do subtelności umysłu pani Beaty. Złośliwi mogą to uważać za przedawniony erotyzm. Być może jest w tym coś zmysłów (żał się Boże), ale jeśli chodzi o uczucia i świadomość człowieka, echodzącego już z pola, to trzeba zrozumieć, że tliwość w każdym przeżyciu sympatycznym spowodowana jest nastrojem żegnania się z życiem.

Dylewski mówił: — Przywileje towarzyskie udzielane kobietom, rycerski względem nich stosunek w społeczeństwach cywilizowanych, czy hołdy oddawane im w poezji, nie są wynikiem — jak zwykle się mniema — litościwej sympatii dla płci „słaba b s e j”, lecz są wyrazem szacunku dla płci zapewniającej rodzajowi ciągłości istnienia. Można wyrazić przypuszczenie, że obecne stanowisko kobiety u narodów cywilizowanych wypadło tak a nie inaczej wskutek podboju świata macierzystego przez ojczyznę, co było koniecznością wobec potrzeby zmilitaryzowanych społeczeństw dla celów walki o przyszłość pokoleń. Pozostała jednak w duszach wrodzona cześć dla kobiety, cześć natury pozatewarzyjskiej i poza społecznej, raczej kosmiczna, płynąca bezpośrednio z zachowanej w zmysłach pamięci dawnego w łonie przyrody bytu.

Ta pamięć jest źródłem ciepła, jakie tylko dusza ma w sobie w postaci uczuć dodatnich, a nazwa tego źródła — Miłość. Ono naszemu uczuciu życiowemu kładzie granice wyłączności osobistej i nadaje kierunek naszemu zmysłowi samozachowawczemu, że nie rzucimy się inaczej; jeno w spo-

istym, naturalnym związku z pokoleniami dawnymi i tymi co przyjdą. Wtem jest wielka siła twórcza cywilizacji, a tej linii pokoleń strzeże przede wszystkim M a t k a .

Kobieta osiągnęła to stanowisko nie dzięki temu, jakoby miała być jedyną wyobrazicielką Piękną, jak to wyśpiewywał Krasiński. To był manowier filozofii romantycznej, a filozofia ponosi ciężką odpowiedzialność za fałszywe wykładanie spraw duchowych. Każdy instynkt wrodzony może sprawić w życiu wielkie sputoszenia, jeśli wyobrażeniu naszemu o przedmiocie danego popędu nadamy błędną wykładnię myślową. Dlatego zdrowiej żyje duchowo lud prosty, nie szukając wyobrażeń o kobiecie w filozofii piękna.

Gdyby wielkie wzruszenia idealnej natury miały swe źródło tylko w poczuciu piękna, to i religijnych wzruszeń źródła tam by szukać należało. Więc i najpiękniejszy kult Matki Boskiej wytłumaczyć mogłoby tylko esteci.

Romantyzm skompromitował się, dochodząc przy pomocy filozofii idealistycznej do kultu kobiety pięknej, tylko pięknej.

Krasińskiemu potrzebna była kapłanka Miłości (grande amoureuse) aby dojść do poufałości z ideałem Piękną. Norwidowi potrzebne było wcielenie piękności w kobiecie bogatej i ustosunkowanej. „Bo, jak wiesz (tak pisał do filozofa Cieszkowskiego) ze społeczeństwem łączność przez kobietę jest...”. I to była nieprawda. Norwid przez kobietę miał łączność nie ze społeczeństwem, lecz z „societą”.

Przez kobietę łączność z przyrodą jest, łączność z dziedziną kosmiczną, stanowiącą podstawę wyższych sfer życia w postaci społeczeństwa. Dziecina to macierzysta, w której — jak w łonie matki — pocyna się i wychowuje zaród cywilizacji. Kobieta nosi w sobie tajemnicę owej siły organicznej życia, która światu społecznemu daje krew żywą, że nie jest tworem czysto mechanicznym i racjonalistycznym.

Do tego stopnia to jest prawda, że nieomylny instynkt ludzki odsuwał zawsze ogół kobiet od tych funkcji, które muszą być wykonywane z zimną rachubą, aż do przelewu krwi w doborze środków. Dla kobiety pozostaje troska o wnętrze życia, aby nie gasła jego energia: — rola Hestii.

Profesor Dylewski szukał w pani Beacie oparcia dla swych myśli. Wzór, jaki nasuwała mu jej rola w Helenowie, utwierdzał go w przeświadczeniu, że jednostką twórczą w cywilizacji jest nie osobnik, lecz para ludzka dwu płci i że od dobrego podziału pracy między nich dwoje zależy będzie wiele w odbudowie obecnej ruiny kraju. Wedle niego od tego głębokiego miejsca planować trzeba dzieło odrodzenia. Budować zaś trzeba ten świat nie tylko według praw głośno, lecz w spójni z wielkim prawem miłości. Miłość jest słońcem świata duchowego. Ona jest sprawcą atmosfery moralnej, w której rozwija się cywilizacja. Do tego słońca dąży wszystko, co człowiek wolny wytwarza, godząc ten swój wyrost z prawem ciężenia do ziemi. Tak rosną drzewa. Cóż by z nich było, gdyby całe podawały się w korzeń?

W dążeniach swoich do zharmonizowania pełni człowieczeństwa wspomniamy wzory epok minionych. Ile ich było, wszystkie nam coś dały w dorobku. Przerabiamy to, co nam dał romantyzm i pozytywizm, ale to są kręgi fał pochodzących od wielkiego poruszenia wywołanego przez chrześcijaństwo. Coraz wyraźniej czujemy potrzebę zasilenia się duchem średniowiecza.

— Czy widzi pani — mówił Dylewski — ten wspaniały most goetycki, który linkiem łączy świat antyczny z nowożytnym? Widzi pani kroczących tym mostem poetów: szli tedy Petrarca ze swą Laurą, Dante ze swą Beatryczą. Ta zaprowadzi go do Raju, aby mu wyjaśnić tajemnicę

Miłości. Poeci nasi owiani duchem Renesansu, inaczej już wykładali rolowość Miłości i roli, jaką gra w życiu duchowym kobieta. Ale był w wieku XVI poeta, Mikołaj Sęp - Szarzyński, który ten most średniowiecza miał jeszcze w oczach. Kiedy Kochanowski rad ściagał polarność płciową do rzędu fraszek, ten Sęp — ptak wysokiego lotu — streścił zagadnienie Miłości w czterestu wierszach sonetu, kutego w złocie sztuką florencką. Odezwała się w tym utworze myśl dantejska. Zna pani ten sonet?

Profesor deklamował:

„I nie miłować ciężko i miłować  
Nędzna pociecha, gdy żądasz

zwieziono  
Myśli cukrują nazbyt rzeczy one,  
Które i mienić muszą się i psować.

Komu tak będzie dostatkiem  
smakować  
Złoto, scepter, sława, rozkosz

i stworzone  
Piękna oblicze, by tem nasycone  
I mógł mieć serce i trwóg się

warować?

Miłość jest własny bieg życia naszego.  
Ale z żywiołów utworzone ciało,  
To chwalać, co zna z początkiem

równego

Zawodzi duszę, której wszystko mało,  
Gdy Ciebie, wiecznej i trwałej

Piękności.

Samej nie widzi — celu swej

miłości

Stracono potem z oczu tego Sępa-Szarzyńskiego na długie lata. Nie powołał się na niego nikt w czasach romantyzmu, a pozytywista Piotr Chmielowski w swoich „Obrazach literatury polskiej” pominął ten sonet, choć tyle innych mniej wartościowych utworów Szarzyńskiego przytoczył. W jego oczach stanowisko Szarzyńskiego było już zupełnie niezrozumiałe.

— Dziękuję pani za sens — rzekł Dylewski, całując panią Beatę w obie ręce. — Była Pani w tej rozmowie moją Beatryczą.

Pani Beata była zdziwiona, nawet zaniepokojona, czy z niej profesor nie żartuje. Nic przecież nie mówiła, ona się tylko zgadzała. W „Raju” Dantego wykłada rzecz Beatrycze.

— Droga Pani Beato, a czyż poeta nie napisał sam tego, co włożył w usta Beatryczy? Ważne jest to, że ona była jego natchnieniem.

— Świat duchowy — dopowiedział Dylewski — tak jest urządzony, że dusza rozkłada się biegunowo między mężczyzną a kobietą. Gdyby nie ta współpraca duchowa, dusza zatraciłaby kierunek do Raju oczekiwane. Kierunek ten wyznacza kobieta, przechowująca pamięć linii przybytej od Raju utraconego.

#### IV.

Gorzej działało się Dylewskiemu, gdy z wędrowek spiralnych po rozmaitych krągach świata ludzkiego ścigał myśl ku sobie. Tego „bieguna” nie lubił, wracało się bowiem tutaj coraz częściej tylko wskutek depresji psychicznej. Wolął świat widzieć w symbolu i „w ogólności” — taki to już obyczaj humanistów. Nawet te małe indyki powiszące koło niego, mogły mu powiedzieć coś interesującego, ale co ma robić z sobą, gdy szum w głowie ocieżyła, zwłaszcza, gdy słońce całe dnie chowa się poza chmurami?

Robi mu to wielką ulgę, gdy może zatrudnić myśl w regionach zagadnień ogólnych: po prostu ucieka od siebie samego. Gdy o zmroku, nie zapalając światła (o naftę teraz trudno), leży w swoim pokoju pod pledem i tam zdybko gła chandra, wtedy daremnie szuka dla swej myśli pretekstu, jakby się wyrwać poza siebie, poza swoją osobistą granicę.

Zajmuje go wszystko to, co się dzieje, dopóki nie pomyśli o swej roli osobistej, że przecież dzieje się to

wszystko poza nim, że śni mu się tylko legenda dziejów, ale on już w nich udziału nie bierze. Na cóż mu ciekawa intelektualna, gdy mu brak tej która jest chucią życiową. Im więcej podziwu budzi w nim młode pokolenie, że czegoś pragnie i coś może, tym dotkliwiej odczuwa swoje wysamotnienie, bo przecież nie nadąży. Czuje się samotny jak pustelnik i nikomu niepotrzebny. I nic mu się nie należy, bo i to że istnieje, jest już tylko miłosierdziem losu, a więc jego żebrectwem.

Zaczynając od góry, od tej nadbudowy, którą ze społeczeństwem z wysiłkiem serca wznosił, wszystko dziś w gruzach. Duszą go mgły nieprzenikalne. Żadnego wyjścia, żadnego światła. Pociechą byłoby, gdyby znalazł w sobie więź tego stanu rzeczy. Byłby jakiś dramat, słodczy ponoszonej winy. Lecz on nie umie już nic w sobie odnaleźć. Tak, to tylko smutek obumierania.

Jaśniejszy promień słońca, złoćący rankiem okno, przywracał jednak równowagę. Psyche odzyskiwała władzę nad skrzydłami Wiary i Nadziei. Po złe przespanej nocy nastąpił wreszcie taki poranek. Obudził się z ciężkiego snu, który go przeniósł z jego niemocą na jakiś plac przed koszarami. Wybiegali ze stajni ulani, nawołując się. Trałka, okrzyki: do koni! On sam jest ułanem, ale iść mu trudno i nie może sobie przypomnieć, jak się na konie siada. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby się nie obudził.

Słońce było w oknie. Słyszy przez ścianę ruch w jadalni i dyspozycje gospodarza, z których wynika, że pszenica już podeszła i że od południa zacznie się zwózka.

— Ano! To przecież dzieje się coś naprawdę, — pomyślał profesor i raźnie zaczął się przyudziewać.

Poranek był ciepły, koło leżaka snuły się po dawnemu indyckiej; we dworze cisza, bo wszyscy w polu. Dylewski usiłował nie słyszeć prujących niebo samolotów i nawet Obal wydał mu się sympatyczny ze swoją czułością w powitanii. Zabawna też była Joasia, która w pewnej chwili odezwała się z ganku:

— Ty, Obal! Ty się tak nie przypatruj tej indyckiej! Ja ci pokażę! — I ruszyła z patykiem w ofensywie. Pies skulił się i już był pod ławką.

— To niedobry pies — insynuowała dziewczyna — Pan nie wie co on potrafi...

Wnet po obiedzie zaledwie się profesor zdrzemnął, zajechał z fantazją przed ganek wóz drabiniasty, zaprzężony w parę siwych koni. Pani Beata dyrygowała:

— Profesorze jedziemy do sterty! Proszę siadać.

Profesor nie ociągał się, wsunął swą figurę między szczebel drabiny, fernal Jędra przyiadł z tyłu, cugle zaś ujęła pani Beata. Dylewski miał wrażenie, że siadł do antycznej kwadręgi, kierowanej przez bęgnię, bo stojąca na przedzie wozu postać kobiety przypominała mu rzeźbę z jakiegoś łuku tryumfalnego.

W powietrzu było kryształowo, dalsze plany pól, obramowane ramkami gajów, ginęły dla oczu Dylewskiego w opalonym przymgleniu. Białe konie (takimi w Warszawie jeżdżą ludzie do ślubu) mknęły z rozwianymi grzywami, wreszcie wpadły w miękkie pole pszeniczne.

Było tam gwarno i wesoło. Pierwszą stertę już do wysokości ładownego wozu podbudowano. Na drugą stertę zamarkowano obok wysłane słomą kolisko. Karbo — ilość wozów karbował na swym berle. Pani Beata donośnym głosem wydawała rozkazy.

— Głowacki, zajeżdżać do drugiej! Ten właśnie nadjeżdżał i z wysokości swego wozu skierował konie poza złotą plamę słomy. Wnet i tam się zaroilo, jak na pierwszej stercie. Nawoływano się, wyznaczając co kto ma robić. Głosy kobiet górowały nad męskimi, a we wszystkich było coś radosnego jak w świergocie ptaków.

## W Kraju...

MOWA POSŁA FRANKOWSKIEGO

W dyskusji nad exposé Premiera zabrał głos przewodniczący Klubu Poselskiego Katolicko - Społecznego dr Jan Frankowski.

W związku za sprawą Mikołajażuka dr Frankowski stwierdził, że „nie ma dla nas możliwości pracy dla Polski na emigracji”, a „Polskę należy budować i o zwycięstwo własnych ideałów zabiegać tylko w kraju” — dużą część wywodu poświęcił odmiennej sytuacji w jakiej się znalazł obecnie katolicki zespół parlamentarny. Poseł Frankowski mówił o usiłowaniu stworzenia własnego stylu politycznego, stylu izomowej i twórczej opozycji, co było zasadniczym dążeniem dotychczasowej działalności Klubu. Mówca zilustrował obszernie bogaty wkład posłów katolickich, których poprawki wniesione podczas uchwalania ustawy amnestyjnej i wielu innych aktów ustawodawczych zyskały swoją argumentacją większość sejmową. „Ni gdy nie atakowaliśmy ludzi, ale krytykowaliśmy ich czyny, nigdy nie podnosiliśmy szczegółów, ale formułowaliśmy problemy” — mówił dr Frankowski.

„Chcemy wierzyć, że w modelu politycznym Polski jest miejsce na rzeczową opozycję”. Poseł Frankowski bardzo stanowczo podkreślił, iż Klub nie jest „żadną oficjalną reprezentacją katolicką, upoważnioną do reprezentowania Kościoła, gdyż Kościół nigdy tego nie uczynił, ani nie uczyni w stosunku do tej czy innej grupy”. Natomiast skromną liczbowo reprezentację parlamentarną, nie należy mierzyć liczbą 3, ale reprezentowanym światopoglądem katolickim. Klub reprezentuje tych istotnych nie politycznie koniunkturalnych katolików, którzy czynnie i świadomie biorą udział w wielkim dziele odbudowy Polski. „W codziennej pracy, w żmudnym trudzie odbudowy gospodarczej kroczymy wszyscy razem”.

„Tam jednak, gdzie chodzi o założenia światopoglądowe, gdzie chodzi o postawienie problemu: z Bogiem, czy bez Boga, tam katolicy zdecydowanie zachowują własne oblicze”. „Jeśli mówiąc tylko przykładowo — nierozzerwalność małżeństw katolickich, wychowanie młodzieży w duchu katolickim, swobodę kultu religijnego, wyrażającą się nie tylko w nabożeństwach kościelnych, ale również w wolności dla organizacji kościelnych, praworządność, sprawiedliwość społeczną i miłość, usiłowałyby ktoś określić mianem wstecznictwa i reakcji — to trudno” — stwierdził dr Frankowski. Nawiązując do wielokrotnie w Sejmie poruszanej sprawy Listu Pasterskiego, poseł Frankowski wyraził zadowolenie, iż zrozumiałe zainteresowanie okazane temu zagadnieniu przez Premiera, nie podsunęło Prezesowi Rady Ministrów takich sformułowań, które by w przyszłości utrudniały usunięcie płaszczyny taru w drodze bezpośredniej negocjacji. Zwłaszcza wypowiedź Premiera, który oświadczył: „Będziemy nadal respektowali w granicach obowiązujących ustaw, prawa Kościoła Katolickiego, gwarantując Mu pełną swobodę kultu religijnego i otaczając Go należyłą opieką” — spotkała się z pełną aprobatą mówcy. Poseł Frankowski przypomniał iżbie, iż przed wyborami Episkopał Polski właśnie w okresie dużego napięcia i szkodliwej propagandy, wydał List Pasterski, wzywający katolików, aby poszli do urn wyborczych.”

Całe przemówienie dr Frankowskiego było ożywione tendencją wykazywania wszelkich punktów stycznych, jakie niewątpliwie istnieją nawet między przeciwnikami ideologicznymi. Poseł apelował do mówców, aby brali przykład z wypowiedzi Premiera w ogólności sformułowaniu tych problemów, które wywołują nieuniknione zadrażnienia i w tendencji podkreślania tego wszystkiego, co łączy, a nie dzieli.

Dylewski, usadowiony opodal na mendlu snopków, długo wpatrywał się i wsłuchiwał w ten ruch, zanim wyrozumiał jego składność. Wygórowane snopkami wozy podjeżdżały do stert z obu stron każdej, wyładowane zaś odjeżdżały w pole tęgim kłusem. Ludzie na stertach zaledwie nadażyć mogli podawanym z wozów snopom, a trudniejszą robotę mieli ci, którzy układali stronę licową, bo ta musiała mieć linię architektoniczną i gładkość ściany. Szło to składnie nad podziw.

Profesor ma słońce poza sobą. Grzeje go ono przyjemnie w plecy i znakomicie oświetla obraz wyrastającego w oczach dzieła. Sylwety ludzkie w górze zarysowują się wyraziście na tle jasnego nieba, a najwięcej ruchu sprawiają w tym obrazie snopy, wylatujące w górę z wozów na widłach i chwywane w powietrzu. Nie widać, co kto robi, bo złoto migoce w słońcu, a snopy jakby własną siłą i ochotą śmigają w górę. Jedyne widoki w gospodarstwie takie wese-

lisko przyrody z pracowitym człowiekiem.

Na chwilę powstrzymano w pierwszej stercie układanie, bo widły z wozu już nie sięgają góry. Karbowy ustawia z ludźmi „rynsztunek”, rozdzaj rusztowania na paliskach z mostkiem. Na tym mostku staje człowiek z widłami, którymi porywać będzie snopy z wozu podawane i wyrzucać je na górę. Wytworzyła się w ten sposób fontanna złota bez przerwy płynąca, jakiś wytrysk samorzutny złota, rozblyskujące w słońcu.

Dylewski zahipnotyzowany tym ruchem wpatrywał się jak przez sen w symboliczny obraz, a myśl jego szukała poetyckiego wyrazu na określenie piękna tej współpracy człowieka z ziemią. Gdzie tu jest głód, gdzie miłość?

Myśl przesuwająca się w pole odczuwań religijnych i zatrzymała się między lazurem niebios, a złotą wieżą pracy ludzkiej. Stało się to za sprawą niespodziewanego czynnika.

Wzruszyła profesora pieśń skowronka. Dawno go nie słyszał. Rzecz dziwna, zdawało się Dylewskiemu, że go słyszy od dzieciństwa po raz pierwszy. Skowronek nie boi się ptaków mechanicznych, śpiewa po dawnemu ludziom pracy!

Dylewski daremnie wyciąga wzrok, aby skowronka zobaczyć, natomiast olśniewa go przedziwna wymowność błękitu. Pewno dlatego, że widzi oczyma wzniesionymi ponad ziemne okulary.

Poczuł się dziwnie tym wszystkim poruszony. Takiego błękitu nigdy nie doświadczył; coś go tam pociągało czarem skowronka, który jakby diamentem świdrował kryształ niebios.

Pieśń skowronka przypomniała profesorowi nagle coś z literatury, ale z tej najuboższej dla prostaków, rozwiązujących po swojemu zagadnienia życia.

Nabył kiedyś na odpuszcie wiejskim pieśń dziadowską o pustelniku, uczą-

cym skowronka modlitwy. Pamięta ten druczek na szarym papierze, tkoczony na Śląsku we Frydku. Na pierwszej stronie był drzeworyt, przedstawiający owego ptaka na krzaku i przed nim stojąca postać pustelnika. U dołu była wskazówka, że trzeba pieśń śpiewać na „notę” i „Święta Panno, Tyś nad wszystkie”. Tekst pierwszej zwrotki zaczynał się od słów:

„Dawna święta powieść niesie  
O pustelniku,  
I że smutny żył gdzieś w lesie”...

Nauczył on skowronka wzywać imienia Maryji. Żal ścisnął mu serce, gdy pewnego ranka ptaszek odleciał. Szuka go i wzywa do powrotu:

„Ale ptaszek wylatuje,  
Pod obłoki wyśpiewuje:  
Zdrowaś Maryja!”

I oto co się stało w oczach pustelnika:

„Wtem uderzył jako strzała  
Orzeł z daleka.  
W szponach ptaszyna zadrzała  
Bo ją śmierć czeka.  
A w tej śmiertelnej tęsknocie  
Świergoce w znajomej nucie:  
Zdrowaś Maryja!

Tym głosem orzeł rażony  
Zdobyć opuszcza,  
A ptaszek wyswobodzony  
Na dół się spuszcza,  
Maryji za uratowanie  
Oddaje wdzięczne witanie  
Zdrowaś Maryja!”

Między ptakami tak nierównej broni odbył się pojedynk ideologiczny ku tryumfowi skowronka. Dylewski miał wrażenie, że był świadkiem tej walki wobec rozwartego nieba.

Olśniony błękitem zjawiska z trudem rozpoznawał postać pani Beaty, podążającej ku niemu.

Pełen wdzięczności wyciągnął do niej rękę.

Zygmunt Wasilewski

## Z cyklu: O kulturę prowincji

ZBIOROWA WYSTAWA  
WŁADYSŁAWA MIKOSA  
W RADOMIU

Jesteśmy świadkami znamiennego zjawiska. Lata ostatnie wykazują napływ tak silny nowych talentów, które wydała głęboka prowincja, i to na wszystkich polach sztuki, że można mówić o swego rodzaju rewolucji. W dziedzinie literatury zwłaszcza wieś dokonała przewrotu, uwidaczniającego się w masie dzieł, wydanych przez pisarzy - chłopów, którzy kuźną się nawet o stworzenie nowej szkoły literackiej w Polsce. Pochód talentów chłopskich na Akropol dokonuje się jednak nie tylko w powieści i poezji współczesnej. To samo dzieje się, może tylko nieco na mniejszą skalę, na terenie muzyki, architektury i przede wszystkim malarstwa i rzeźby.

Nowsze badania etnograficzne wykazały, jak olbrzymie uzdolnienia w zakresie sztuk plastycznych wykazują chłopcy małopolscy i górale podhalańscy. Zegadłowicz odkrył i spopularyzował w poezji uzdolnionego rzeźbiarza świątków srod Wądowic, autentycznego chłopca z Wawra, a niedawno temu mistrz Szukalski tworząc głośną szkołę malarstwa, przyznawał za uczniów niemal wyłącznie synów chłopskich.

Spśród nich Słońcesław z Żotyń, Frączek i Zechowski zdobyli już sobie nazwiska i są dziś malarzami uznanymi i znanymi, nie tylko w kraju, ale także za granicą. Jeden z nich wystawiał obrazy w Paryżu i w Rio de Janeiro.

Do nazwisk „szukalszczyków” należałoby dołączyć nazwisko jeszcze jednego malarza z pochodzenia chłopca, Władysława Mikosa.

Urodzony na wsi, w Brzozie pod Radomiem, szkołę średnią kończył on w Warszawie i Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, pod kierunkiem prof. Mehoffera.

Od 21.9 do 15.10 1947 r. wystawiał właśnie Mikos swoje obrazy w gmachu Muzeum miasta Radomia. Zbiórka wystawa dzieł tego malarza ukaże zwiedzającym dorobek całego nie małego artysty i pozwala w obrazach odnaleźć to, co jest jego najdogłębszą treścią.

Zastanawiałem się nad tym, jakie założenia ideowe stawia sobie Mikos. Choć obrazowo wystawił on nieco za dużo, bez ściślejszej selekcji, wskułek czego obok rzeczy bardzo dobrych znalazło się wiele słabszych, co utrudnia sprecyzowanie blaskawiczego sądu o całości, doszedłem jednak wnet do przekonania, że nie jest to zwyczajna produkcja artystyczna, lecz jest ona ujawnieniem bardzo ciekawego talentu, a wartość tego talentu zasada się na tym, że jest bardzo mocno powiązany z ziemią. Ziemia ta - to ściślej mówiąc, ziemia radomska.

Nie omyliłby się kto by powiedział, że Mikos uprawia regionalizm w malarstwie. Powiedziałbym, że Mikos prawnie się wyłącza regionalizmu.

Nie jest to regionalizm przygodny, który by wynikał z powierzchownego tylko zachwytu nad radomskimi pasiakami. Mikos całe życie ofiaruje poznaniu i kultowi ziemi tej, której nie śmiałyby nigdy opuścić i do której przywiązany jest wszystkimi zmysłami i pamięcią o jej jedności poetyckiej, godnej podniesienia do nieba sztuki.

Nie sądzę, żeby uprawianie regionalizmu oznaczało spyciwanie, założeń malarstwa. Malarzem - regionalistą można być, nie rezygnując z poszukiwań formy i treści, jak można być pisarzem - regionalistą, nie rezygnując z wysokich aspiracji literackich, — że się wspomni tylko nazwisko Morcinka.

Mikos nauczył się przy tym wszystkim rezygnacji z doraźnych efektów. Zdaje się on rozumieć, że niedaleko zaszedłby jako regionalista, gdyby puścił się na szerokie drogi eksperymentatorstwa. Jego sztuka pod względem formalnym jest prosta jak w poezji piosenka odpustowa albo pastorałka. Niekiedy może nawet za prosta. Mikos pracuje za szybko, automatycznie, jak medium, zachowując wobec modelu i natury bezsilnie, powtarzając na płótnie, czy kartonie niewolniczo to, co ona mu podaje. Stąd prace je-

go są nieraz zbyt analityczne; przydałoby się więcej pracy umysłowej, dyscypliny, syntezy.

Z obrazów Mikosa przemawia do nas wieś: drogi piaszczyste, pola, łąki, lasy, przeszłone sady, pełne jabłoni, ciężkich uli i chabrowych ścian chat. To wszystko w pogodnym tonie, wiosną, latem, jesienią. Mikos nie zna słoty, deszczu, zimy. Bezsprzecznie najsilniejsze wrażenie wywołuje jednak wśród pejzaży: „Pierwszy pokłos”, przedstawiający biegnące ku górze pole kwitnącej różyczko koniczyny.

Temat naturalistyczny, opracowany subtelnie, przykuwa oczy widza.

Najpoetyczniejszy, najobfitszy jest Mikos w przedstawianiu kolegiat, drewnianych świątków i krzyży przydrożnych, dziadów odpustowych. To wszystko — gina, romantyczna stara wieś artysty, taka, jaką zapamiętał z czasów dzieciństwa, jaka została w oczach i sercu wierzącego i rozmodlonego chłopca, w mgiełce smętku.

Osobną partię obrazów stanowią motywy pracy chłopskiej, jak miedlenie lnu, plectenie koszyków, szyć, tkaczka, pranie chust w rzecie itp. Obrazki niewyszukane, przeciw trudności od nich oderwać oczy, i one najsilniej świadczą o związkach uczuciowych artysty ze wsią i tradycją. Urzekają nas ci zajęci robotą chłopcy, czy to są mężczyźni, czy kobiety i dziewczęta, żyją oni na obrazach.

## »O ŻENIEK«

MIEJSKIE TEATRY DRAMATYCZNE W WARSZAWIE

Ożenek — historia z nieprawdziwego zdarzenia w 3 częściach z prologiem i epilogiem Mikołaja Gogola.

Karol Borowski specjalizuje się w realizowaniu utworów scenicznyc Gogola. Po śląskiej inscenizacji „Rewizora” i po ostatniej premierze w Teatrze Rozmaitości można śmiało stwierdzić, iż ten dużej klasy reżyser — potrafi uchwycić właściwy ton rosyjskiego mistrza. Każda niemal pointa wydobyta jest dyskretnie a przekonująco, tak, że sens utworu, ukryta w nim myśl autora, rysuje się przed widzem niemal od pierwszej sceny w głównym konturze, a czas trwania spektaklu jest tylko konsekwentnym nawarstwianiem szczegółów, precyzyjnym uzupełnieniem szkicu w pełny i wyrazisty obraz.

Tym razem jednak Borowski popełnił moim zdaniem dość zasadniczy błąd, nie wykorzystując przywileju operowania ołówkiem. Sztuki Gogola, zresztą nie tylko Gogola, można przystosować do psychiki dzisiejszego widza nie tylko na odcinku dekoracyjno - kostiumowym, ale, i to przede wszystkim, przez pozyczenie umiejętnych skreśleń. Niekiedy sceny aż proszą się o skrócenie. Nie byłoby to wcale równoznaczne z bra-

kiem kultu dla autora. Przeciwnie Gogol zyskałby wiele, stałby się bliższy naszym czasom, barwniejszy i żywszy. Reżyser zrezygnował, to byłoby widoczne, z wierności w malowaniu epoki — na pierwszym planie stawiając słowo — gdyby był tu uwzględnił większy temperament dziejszych czasów, gdyby był zwolnił widownię od obowiązku wysłuchania modnego w czasie i środowisku „Rewizora” i „Ożenku” gadulstwa — całość wypadłaby znacznie lepiej. Przesadny pietyzm dla tekstu mścił się w czasie spektaklu srode. Nie mówię o kołtunerii, która wręcz ziewała, ale przynajmniej otwarcie, że i smakosze musieli mieć chwilami miny osnute mgłą znużenia.

A szkoda. Pod wieloma względami bowiem znać można „Ożenek” za jedną z najbardziej udanych premier Miejskich Teatrów Dramatycznych. Najmocniejszym atutem jest jego strona aktorska. Największy nawet grymasnik musi przyznać, iż usterk da się wyliczyć bardzo niewiele. W obsadzie nie było punktów słabych — zespół był idealnie wyrównany, a jeśli ktoś od równego, a wysokiego poziomu odbiegał to tylko w sensie dodatnim, to tylko jeszcze wyżej.

Kwartet Ładosiówna (swatka), Wierzchowska (Agafia), Klejer (Pod

kolesin) i Łuszczewski (Koczkariaw) sprawił miłą niespodziankę nawet swoim wielbicielom i zwolennikom.

Agafia Wierzchowska była naturalna, ujmująca nie tylko naiwnością starszej (korekta uwaga: starszej, a nie starej) panny, ale i rodzajowym wdziękem córunki kupieckiej śpiewającej „la priere d'une vierge”. Swatka Ładosiówna miała dużo obrotności i wszystkie cechy z tym miłym i kiedyś cenionym zawodem związane. Klejer rozbrajał swoim „chciałabym i boję się”, a Łuszczewski trzęsł całą sceną nie tylko ustawiając z woli Gogola losy partnerów według swego widzimisie, ale podbijając serca całej widowni. Reszta wykonawców co najmniej poprawna. Dekoracje jak zwykle w Miejskich Teatrach Dramatycznych, nie z winy scenografów, bez rozmachu — poprawne, ale zbyt uproszczone.

Mimo niesłusznie pozostawianych dłużyzn, o czym była mowa wyżej, spektakl toczył się dość warto po drodze, z której sprężysta ręka reżysera usunęła wszystkie zatory i wyboje. Przyjemnie zaskoczyło idealne niemal opanowanie tekstu. Rozmaitości dobrze zaczęły sezon. Wróżę „Ożenkowi” długotrwałe powodzenie.

Mieczysław Markowski

## Nadesłano

TOWARZYSTWO NAUKOWE K.U.L.  
LUBLIN

Bułenda T. J., ks., Edward — KULT BOGINI-MATKI W KULTURACH PRAHISTORII I ETNOLOGII, A CZĘŚĆ MATKI BOŻEJ W CHRZEŚCJAŃSTWIE, Str. 24+2nb.

Milewski Tadeusz — JEZYK A SPOŁECZYSTWO, Str. 34+2nb.

Morełowski Marian — ABSTRAKCYJNYZM I NATURALIZM W SZTUCE.

Kuraszkiewicz Władysław — JEZYK POLSKI W OBOZIE KONCENTRACYJNYM P 25793, Str. 46+2nb.

Papierkowski Zdzisław — DZIECIOSTWO W ŚWIETLE PRAWA KARNEGO.

Wojtkowski Andrzej — DUCH ZIEMI ZAŁUDNIONYCH, Str. 16.

ZARZĄD OKREGU LIGI MORSKIEJ W KRAKOWIE

W SŁUŻBIE MORZA. Praca zbiorowa, Str. 160.

WYDAWNICTWO  
J. PRZEWORSKIEGO, WARSZAWA

Van de Velde, dr Th. H. — MAŁŻENSTWO DOSKONAŁE, Str. 345+1nb+3 tablice.

WYDAWNICTWO J. KOWALSKI  
KATOWICE

Gorywoda A. — POD GÓRĄ ŚW. ANNY. Opowiadania śląskie, Str. 80.

KSIĘGARNIA WŁ. WILAK  
W POZNANIU

BIBLIOTEKA TYGODNIKA GOSPODARCZEGO Nr 13.

Grabowski Lech — USTAWA O ZWALCZANIU DROŻYZNY I NADMIERNYCH ZYSKÓW W OBROTCIE HANDLOWYM, Str. 68.

PAŃSTWOWE ZAKŁADY  
WYDAWNICTW SZKOLNYCH

Ministerstwo Oświaty, red. Falski — PRACOWNIE NAUKOWE SZKÓŁ WYŻSZYCH W POLSCE.

NAKŁADEM KRAJOWEJ CENTRALI  
„CARITAS”, KRAKÓW

Dalewski Tadeusz — O. KUZNOWICZ PRZYJACIEL MŁODZIEŻY, Str. 22. PARAFIALNE NABOŻENSTWO DLA CHORYCH. Krótka instrukcja w opracowaniu X. Michała Rękasa, Str. 32.

LUBELSKIE TOWARZYSTWO  
MIŁOŚNIKÓW KSIĄZKI

Nagrabiecki Jan — HEJNAŁ, Poezje.

TOWARZYSTWO GNIAZD SIEROCYCH I WIOSEK KOŚCIUSZKOWSKICH, WARSZAWA

Jeżewski Kazimierz opracował — WIOSKI SIEROCE JAKO ŻYWE POMNIKI KU UOZCZENIU 200-LECIA URODZIN OJCA LUDU POLSKIEGO TADEUSZA KOŚCIUSZKI, Str. 37+2nb+tabl.

NAKŁADEM  
STRONNICTWA LUDOWEGO

Nocznicki Tomasz — MOJE WSPOMNIENIA Z UBIEGŁEGO ŻYCIA, Str. 47.

KLASZTOR  
SACRE-COEUR

Polska Wieś

p. Pobiedziska, pow. Poznań

poszukuje  
jeszcze jednej  
polonistki  
z pełnymi kwalifikacjami

Opanowanie przez Niemców ruin pałacu Mostowskich przesądziło o losie pobliskiego Arsenau.

Nieprzyjaciółca cały swój wysiłek skierował teraz na opanowanie tych starych murów, pamiętających jeszcze czasy króla Władysława IV-go. Znajdowało się w nich Archiwum miasta Warszawy, bogata skarbnica cennych dokumentów: akta z czasów najsłynniejszych powstań, księgi zarządów i rad miejskich, zawierające kwintesencje działalności stołecznych władz muncypalnych, stare plany miasta, oryginalne plansze z XVIII w. Tirquilla, z XIX plany Coriota, Bacha, Richtera, Henenquina, akta gruntowe i budowlane. Każdy numer hipoteczny miał tutaj swój odpowiednik, dalej bogate zbiory grafiki, sztychów, fotografii. Najcenniejsze z nich zostały już w 1939 roku złożone w specjalnym schronie, w zachodnim pawilonie.

Po wycofaniu się batalionu „Chrobry I” na staromiejską dzielnicę — dwie jego kompanie: kpt. Konara (Jachowicz) i por. Klina oraz oddział Wojskowej Organizacji Polskiej Partii Socjalistycznej zakwaterowały w salach archiwum miejskiego. Akta zostały zestawione z półek, a na nich porobiono pryzce dla powstańców. Okna od zewnątrz zabarykadowano wielkimi księgami buchalteryjnymi i workami piasku: pozostawiono tylko otwory strzelnicze. Saperzy zasłonili podcienia płytami chodnikowymi i rolami papieru. Obserwatorzy i obsługi broni maszynowej czuwała na stanowiskach.

Arsenal wszedł w system obrony, jaki tworzyły na odcinku ppłk. Kuby; Pałac Mostowskich, Arsenau, Pałac Radziwiłłów, reduity: Banku Polskiego, kościół PP. Kanoniczek — Ratusza i Pałacu Blanka.

Teraz Arsenau w rozkazach był wymieniany, jako reduta Konara od imienia jego dowódcy.

Wśród załogi Arsenau znaleźli się jego stali mieszkańcy z rodzinami: woźny archiwum Felczak Adam i dwaj, adiunkci mgr Zawadko Mieczysław i Adam Słomczyński. Ten ostatni miał tutaj swoje służbowe mieszkanie.

Małżonka jego Helena, doktor medycyny, pracująca od wielu lat w konspiracji, jako dr Magdalena, miała swój przydział mobilizacyjny w innej stronie stolicy. Wybuch powstania zaskoczył ją, utworzyła więc tutaj punkt opatrunkowy — ambulans.

#### NAJMŁODSZY SANITARIUSZ

Wraz z nią był jej synek Marek, dziesięcioletni chłopiec, nazywany przez wszystkich mały Bimbo.

Jasna, szczupła i ruchliwa postać z chłopcem o rozwianej jasno - blond czuprynie i niebieskich oczach spotykało się wszędzie, przebiegających razem podcieniami, pochylonych nad rannymi. Bywało nieraz, stare mury arsenalskie chodziły od uderzeń ciężkich pocisków artylerii i miotaczy min. Nieustannie dymiły, jak w czas zamieci śnieżnej. Znoszono z pobliskiego terenu walki coraz więcej rannych. Leżeli na noszach lub wprost na podłodze. I nieraz dr Magdalena zdawało się, że już wszystkich opatrzyła; gdy z mrocznego kąta schronu odzywał się dziecięcy głos:

— Mamusiu tu jeszcze jest ranny!

I tak było wiele razy. Marek stał się niezastąpionym przez nikogo, był najmłodszym sanitariuszem reduity, kompanii i chyba w całej staromiejskiej dzielnicy. Z powagą dorosłego człowieka podawał matce rivanol, gazę, bandarże, utrzymywał w porządku szczypczyki, strzykawkę, igły, ampułki, wyprzedzał w lot każdą myśl matki, każde jej słowo. Sam wiedział co zaaplikować rannemu. Te ampułki z niebieską etykietą — to morfina na usmierzanie bólu, można dać powyżej dwie. Przeciw zakażeniu jest surowica tężcowa, a na utrzymanie serca coffeina, coramina i camphora. Nikt tak sprawnie nie umiał podać tego, co potrzebne, ani tak delikatnie unieść głowę rannemu, aby wlać do ust. Wszyscy patrzyli z największym podziwem i umiłowaniem na Marka.

#### Stanisław Podlewski

# „BIMBO”

Łącznik Stasiek, liczący niewielej jak 15 lat, najczęściej wdawał się z nim w rozmowy.

— Ja bym tak nie mógł babrać się we krwi. Ty to chyba wrodziłeś się do swojej matki.

— Tobie się tylko zdaje. Nigdy nie lubiłem krwi, a jodyny to się bałem.

— Jodyny?

— Tak jodyny — powtarzał Marek.

Właśnie przechodził przez dziedzińiec Arsenau do magazynu starszy sierżant Żurek, stary działacz konspiracyjny, z zawodu listonosz z Żoliborza, a teraz pełniący funkcje szefa kompanii. Dostrzegł rozmawiających chłopców w podcieniach.

— Chodźcie do mnie — wołał — Mam coś dla was. Wyfasowałem sok malinowy dla wojska Chodźcie od razu, bo starsi zabiorą na zaprawę do wódki.

I kiedy pan szef odmierzał im racje — Marek w pewnej chwili odzywał się nieśmiało.

— Panie szefie, mógłby mi pan dać to wszystko.

— Synku sam chcesz wypić wszystko?

— To nie dla mnie, a dla rannych.

— Masz chłopcze — mówi pan szef — tylko nie wypij sam, bo może być rigoleto.

— Jak pan szef nie wierzy — to proszę mi nie dawać.

— No bierz, bierz, jak ci dają i zmykaj, żebym się nie rozmyślił.

A to haraa i honorna sztuka.

Bywały chwile, kiedy w tym koncercie ognia następowały pewne interwalle, upragniona cisza, nie znoszono rannych, a za rudyh dymów wyglądało zasmolone słońce. I wówczas znowu Marek był bez troskim dzieckiem. Bawił się ze swoim Mikitą, ulubionym psem, uczył się obchodzić z bronią, ładować ją, przyglądał się jak jeńcy niemieccy Wehrmachtu nosili wodę, spełniali wszystkie rozkazy strzelca Wisusa, młodego chłopca, niewiele starszego, ale mającego swojego peema w garści.

Przysłuchiwał się ze starszymi, jak Niemcy z ruin pobliskiego ghetta przez megafony wzywali do opuszczenia stolicy, obiecywali ocalenie, dobre traktowanie, pracę.

Dni stawały się w Arsenale coraz cięższe, gorące, ponure i beznadziejne. W stare mury arsenalskie waliły czołgi, goliaty, wykruzali się ludzie z załogi reduity. Codzień to kogoś brakowało z obrońców, nie powracał ze stanowiska, umierał od ciężkich ran w schronie.

Marek znał ich, często rozmawiał

z nimi. Tak padł ranny por. Zan, ryccerski, ofiarny, pełen zapału i wiary, która znamionowała mickiewiczowskich filomatów i filaretów. Po kolei zginęli: podchorąży Kadet, elw Szkoły Kadetów, świetny strzelec. Z trzystu metrów, bez podpórki brał Niemca na muchę i kładł go. Po nim łączniczka Danusia (Muszyńska Danuta), z batalionu „Gozdawy”, gdy na chwilę zatrzymała się pod arkadami Arsenau. Sierżanta Żurka przejechała cała seria cekaemu po szyi w przejściu do Arsenau. Nie podniósł się więcej. Spojrzał na stare mury i w stronę Żoliborza i skończył.

Na oczach chłopca zmniejszał się nieustannie krąg jego znajomych, towarzyszy.

Twarz Marka stawała się bladą, a niebieskie oczy nabierały spojrzenia dorosłego, doświadczonego człowieka, a słowa jego poważne, zdumiewające głębią.

W obszernym schronie w głównym pawilonie, przepełnionym rannymi, których już, dwaj Giganci, noszowi, nie mogli odnieść do szpitala na Stare Miasto, nieustannie powiewy gasły świeczkę. Stare mury trzęsły się w posadach. Gęsty, ostry pył, kurz sadze wciskały się w oczy, płucm brakowało oddechu. Cała seria miotaczy min wylądowała na murach. Posypał się gruz z ogromnym łomotem.

— Czy nas nie zasypało? Ktoś trwoźnie pytywał z ciemności.

— Marku! — masz trochę wody?

— Mam, odzywał się dziecięcy głos. Tylko świeczkę zapalę. Błysk płomienia. Kilkanaście oczu wlepiło się weń. Znowu zaległa ciemność. Znowu trwożne pytania i krzyki.

— Czy mały jest tam na dole — odzywał się dr Magdalena.

— Jestem mamusiu.

— Co synku robisz?

— Zapalam świeczkę.

Dzień zagłady dla Arsenau nieubłaganie nadchodził. W dniu 21 sierpnia wielka liczba pocisków zapalających padła na cekhaus.

Ogromne sale, ciągnące się w amfildzie, przepełnione stertami akt, na drewnianych półkach oraz magazyny żywności spółdzielni Warszawskiej Hurtowni Aprowizacyjnej, mieszczące się na dole, stanęły w ogniu. Urzędnicy Archiwum, ludzie z załogi reduity, kto tylko żyw czynili nadludzkie wysiłki, aby pożar zlokalizować.

Pod ogniem granatników i odłamków długi szereg ludzi stał na dziedzińcu, od studni - abisynki w podcieniach, nieustannie krążyły wiadra z wodą z rąk do rąk.

Wkrótce zajęły się wschodni i zachodni pawilon, po tym bele papieru, osłaniające wokół podcienia. Musiano je rozrzucać po całym dziedzińcu i gasić piaskiem, aż gdy tego nie stało sypano talk. Stwarzało to widok ognia wśród śniegu.

Długotrwały pożar strawił cekhaus i pawilony wschodni i zachodni do zegarów słonecznych.

Płomienie zniszczyły, poza dawnymi aktami Archiwum Miejskiego, zbiory i archiwum podziemnej Armii Krajowej, Wojskowego Biura Historycznego, bogate zbiory Tajnej Prasy, oryginały okupacyjnych plakatów, rozporządzeń i obwieszczeń, dowodów zbrodni niemieckich nad jeńcami radzieckimi, zbiory fotografii, listów, które przez lata okupacji z narażeniem życia zbierano. Mgr Zawadko i Słomczyński, adiunkci archiwum, ukrywali je w różnych, przemysłowych skrytkach.

Od strony ghetta czołgi „Tygrysy” i „Pantery” nieustannie podjeżdżały pod sam mur i waliły z ciężkich dział. Jak sito podziurawły je, a gdy czołgom uprzykrzyła się ta robota, nadlatywały samoloty i dokańczyły dzieła zniszczenia.

Ludzie ledwie już mogli utrzymać się na nogach. Broń nieustannie używana i niekonserwowana, zaciniała się, obrońcy ślepli od kurzu.

W dniu 22 sierpnia kpt. Konar wydał rozkaz opuszczenia przez cywilne osoby i rannych murów Arsenau.

Tej nocy, gdy ogień nieco zelżał, grupka ludzi przedzierała się w krwawych blaskach, tylną furtką ku barykadzie na Nalewkach.

Oczy obrońców Arsenau łatwo mogły rozpoznać dwóch sanitariuszy, Gigantów, wysokich i odważnych chłopców, niosących rannego, dr Magdaleny, Marka ze swoim ojcem i psa Mikitę. Wszyscy przeszli do pobliskiego pasażu Simonsa, następnego dnia ponownie powrócili do Arsenau, ale tu już nie można było wytrzymać, więc udali się do podziemi „Kina Miejskiego”, na Hipotecznej. Tłumy mieszkańców przebywały tutaj w najcięższych warunkach wraz z dziećmi. Dr Magdalena zajęła się nimi troskliwie.

I znowu Marek pomagał matce, nosił tacę opatrunkową, znowu jasny włosy chłopiec zyskiwał serca wszystkich rannych i personelu sanitarnego.

Któregoś dnia łączniczka Basia, słiczna dziewczyna, dostrzegła Marka. Był jakoś dziwnie smutny i po-

ważny. Tak to nielicowało z jego młodym obliczem.

— Co z tobą się dzieje Marku? — zapytała. — Nie widziałam ciebie dawno.

— Ano chodzę po lekarstwa.

— Chyba żartujesz. To niemożliwe. Ptakowi trudno przelecieć.

— Ja jakoś przechodzę, rowem dobiegowym, pod barykadami.

— Powiedz, dlaczego jesteś taki smutny? Może zbiłeś butelki z lekarstwami?

— Nie. Pani będzie się napewno ze mnie śmiała.

— Nie będę się śmiała — powiedz Marku.

— Mikita zginął. Pani wie, to mój wierny pies.

— Zginął od pocisku?

— Nie sam go zabiłem.

— Co ty pleciesz?

— Puściłem go z meldunkiem do Straży Ogniowej. Był silny ogień i Mikita zginął.

I chłopcu zakręciły się łzy w oczach.

W kilka dni później zginęła Basia, odważna łączniczka kpt. Konara

Nadszedł wieczór 28 sierpnia. Miasto mogło swobodnie oddychać. Dr Magdalena z mężem i Markiem szła po lekarstwa. Przebiegli nisko pod barykadami. Duży koszyk obijał się o dziecięce nóżki, w fasowanych butach, zbyt obszernych. Dźwięczały w koszyku butelki.

Wypoczęli chwilę w aptece, nim im rozdali lekarstwa i odżywki. Mieli jeszcze wstąpić na Długą Nr 25, ale Marek nalegał.

— Mamusiu chodźmy, chodźmy. Musimy zanieść lekarstwa tym matkom z niemowlętami.

Weszli na korytarz. Ranni leżeli w ciemnościach i zaduchu. Nagle ktoś zwrócił się do dr Magdaleny.

— Pani doktor tam dziecko ma konwulsje.

— Marku postaw tutaj koszyczek i z tatusiem zaczekajcie na mnie, zaraz wrócę do was.

Dr Magdalena weszła do sąsiedniej piwnicy. Ogląda niemowlę, ani śladu konwulsji. Uspakaja matkę. Rzuciła jej kilka słów pokrzepienia. Naraz dochodzi ją ostry świst, a potem trzask. Czuje gryzący swąd spalonego prochu i dym, słyszy jęki. Dostrzega w ciemnościach jakiś kształt. Roztrzęsione matczyne ręce poznają jej największą, jedyną skarę i jej radość.

Na stopniach, z odrzuconą w tył głową leży jej synek. Z głęboką rozoranej piersi chłopca, z jego serca, wąskim pasemkiem płynęła krew. W zaciśniętej ręce trzymał torebkę z lekarstwami. Obok niego leżał ciężko ranny jej mąż.

W pewnej chwili dwaj sanitariusze ukazali się w mroku sali. Nieśli kogoś lekkiego na noszach. Za nimi szła sanitariuszka Joanna. Z oczu jej płynęły łzy. I to wszystkich zdziwiło. Ta dziewczyna nie uroniła ani jednej łzy, gdy na jej rękach skonał jej jedyny brat.

— Czego płaczesz — pytali zewsząd.

— Bimbo zginął.

Na sali rozległ się płacz. Ranni powstańcy, sanitariuszki i ludzie cywilni płakali.

Pani doktor w okrwawionym fartuchu, pochylała się nad rannymi odruchowo oglądała się, ale obok niej już nie było Marka.

Tego samego wieczoru odbył się pogrzeb Marka. Dr Magdalena obawiała się, aby jego ciało nie zaginęło wśród tylu zabitych, gdy ona jest nieustannie zajęta rannymi.

O zmroku grupka ludzi zaniosła ciało Marka do ogrodu przy pałacu Arcybiskupim. Gdy zasypywano ciało, wokół ezalały pożary i rozlegały się huk dział.

Na małej mogiłce, umieszczono krzyż, a na nim sierżant Piasecki przybił tacę z napisem imienia i nazwiska.

Dr Magdalena na tym krzyżu zawiesiła swój Krzyż Walecznych, który jej tego dnia przyznał dowództwo.

Stanisław Podlewski

**W dniu 12.XI. w czwartą bolesną rocznicę zostanie odprawiona o godz. 8,30 Msza Święta w kościelele Zbawiciela przed głównym ołtarzem za spokój duszy**

**ANDRZEJA TRZEBIŃSKIEGO**

pseudonim **Ł O M I E Ń**

**o czym zawiadamiają**

**RODZICE I SIOSTRA**

**W dniu 9 listopada o godz. 9 odbędzie się w kościele na Bródnie**

**NABOŻEŃSTWO ŻAŁOBNE**

**za dusze poległych żołnierzy 30 dywizji 82 pp. Armii Krajowej**

„BARBARY” — Barbary Karpiówny, „BIAŁKA” — kpr. pdch., „SIWKA” — szer., „MARSA” — sierż. pdch., „JURANDOWICZA” — plut Grądzkiego, „ZBIKA - ORLICZA” ppor. Radzikowskiego Leszka, „KRZEMIENIA - ŁOSIA” pdch., Grądzkiego Czesława, „PASAZERA” szer. Eugeniusza Świętochowskiego, „SZAREGO” kpr. Edwarda Iwanowskiego.

**O czym zawiadamiają**

**RODZINY POLEGŁYCH**

Juliusz Nowak-Dłużewski

# »Straszny dom«

Nowy tom prozy artystycznej Jana Dobraczyńskiego\*), obejmuje trzy opowiadania: „Stasiek”, „Straszny dom” i „Miłosierdzie”.

Powstały one częściowo podczas okupacji, pisane na gorąco, jak niektóre inne jeszcze utwory. Dobraczyńskiego, częściowo już z pewnej perspektywy historycznej, mając za tło zdarzenia wojny w Warszawie. Są to bowiem opowiadania warszawskie, związane mocno z tym miastem i niektórymi podstołecznymi miejscowościami, tworzącymi zresztą ze stolicą jedność. Zanotujmy od razu charakterystyczne, ściśle zespolenie uczuciowe autora z rowalona, „zmiażdżoną”, jak wielokrotnie zaznacza, stolicą. W pierwszych dwu opowiadaniach akcja toczy się w stolicy, ale jeszcze w stolicy żywej, całej; akcja trzeciego rozkłada się na tle Warszawy powstaniowej, miasta w ruinach, które autor maluje w całej grozie jego milczącego upadku, nastrożającego mu wiele sposobności do rozwinięcia swej malarskiej przeważająco wyobraźni.

Dobraczyński jest tu więc narratorem, jak, powiedzmy Prus; łąca go wyraźne nici sympatii z ulicami i ludźmi tego miasta. Łączność z Prusem w tematyce topograficzno-ludzkiej nie jest powierzchowna i nie jest chyba przypadkowa. Dokładność, z jaką Dobraczyński opowiada aktorów swych opowiadaniowych dramatów po Warszawie, szczegółowość, z jaką wyznacza im trasę wędrówek po Warszawie, zwłaszcza dzielnic, jak Ochoty i Kolonii Lubieckiego, z ich kościołami i placem gwiazdowym, ukazuje nam Dobraczyńskiego z precyzją autentyczną, za którym stoi może więcej niż zamiar artystyczny. Właśnie dlatego m. in. lektura tych „opowiadań” jest tak pociągająca dla ludzi, którzy również zrosli się z Warszawą. Jest to obojętność, którą notuje, choćby się miał narazić na zarzut „niebezinteresownej” kontemplacji tych dzieł sztuki.

W każdym razie Warszawę u Dobraczyńskiego widzi się plastycznie, z jej ulicami, kościołami, instytucjami, nawet sklepami (łącznie z domem pod lalką „Wokulskiego”).

\*) Jan Dobraczyński. „Straszny dom”. Opowiadanie, Z. Gustowski w Poznaniu, 1947 r.

Podczas lektury tej książki przeszła mi przez głowę myśl, czy czasem autor nie chciał w ten sposób przekazać potomności wyglądu Warszawy przed zniszczeniem totalnym przez najeźdźcę. Data napisania pierwszej rzeczy, gdzie występuje zaznaczona właściwość w dużym nasileniu, data przedpowstaniowa, wprowadziła mnie z tego domniemania.

Druga właściwość opowiadań, która je łączy z Prusem, to tematyka proletariackiego dziecka, które widzimy zarówno w „Staśku”, jak w „Straszny domu” czy nawet w „Miłosierdziu”. Dziecko to, jak u Prusa, zaczyna bardzo szybko stawiać samodzielne kroki w twardej szkole życia: u Dobraczyńskiego wielokrotnie wcześniej w okrutnej, mroźnej aurze okupacji niemieckiej. Toteż dzieci te nie przechodzą przez dzieciństwo właściwe, starzej niewiarogodnie szybko: zarówno 17 letnia Genia, jak 9 letni Stasiek.

Pokrewieństwo z Prusem widziałbym jeszcze w czym innym w sposobie prowadzenia narracji czy tworzenia wizerunków ludzi. Jest to technika t. zw. chwytów najprostszych. Te, jak wiemy, z przykładów najcenniejszych literatury polskiej, czy europejskiej, najpewniej prowadzą autorów do celu: stworzenie przekonującej i podbijającej czytelnika wizji poetyckiej, a więc wizji właściwej, prawdziwej.

Rasowy epik musi utrzymywać obiektywizm swej postawy twórczej. Ma jednak do dyspozycji środki, które mu pozwalają bez szwanku dla całości artystycznej utworu na zajęcie osobistej postawy wobec tego, co widzi jego wyobraźnia twórcza. Jednym jest dygresja (najwyraźniejsza u Dobraczyńskiego jest ta, w której opowiada nam od siebie o losach Chrystusa spod kościoła św. Krzyża). Drugim niezawodnym w działaniu, jest humor. Ten rodzaj subiektywnego komizmu służy każdemu rasowemu pisarzowi. Posiłowali się nim Prus, Sienkiewicz, Żeromski i in.

Również u Dobraczyńskiego zaznacza swój osobisty udział w zdarzeniach, tworząc np. postać Jelenia, „malarza w niebieskich gatkach”, który „malował przed wojną pokoje i chorował na płuca („Stasiek”), czy biednej Heleny, która po przygodzie ze studentem „została sama z głodem innego

świata w sercu i z dzieckiem pod sercem. W jej położeniu jedno i drugie było nadmiernym luksusem. („Miłosierdzie”). Te drobne przykłady ilustrują rodzaj humoru, który skraca dystans między autorem, a jego ludźmi. Jest to rodzaj humoru, który praktykuje powszechnie Prus. Mniej już był do niego skłonny taki np. Żeromski, którego narzędziem działania jest raczej intelektualny dowcip, niż emocjonalnie zabarwiony humor.

Jeżeli chodzi o postaci, budowa ujemnych przychodzi Dobraczyńskiemu łatwiej, niż pozytywnych pod względem etycznym. W wypadku malarza Jelenia czy rzeźmiesza i mordercy Felka (znakomita technika pośredniego charakteryzowania tych postaci) otrzymujemy postaci, które zachowując charakter epizodycznych, wyrazistością plastyki, osiągniętej bardzo oszczędnymi środkami technicznymi, przerastają efekt postaci takiej, jak np. Zygmunta, osoby centralnej ze „Straszny domu”, wypełniającej swymi dziejami całość tego długiego opowiadania, a jednak niedość precyzyjnej i to mimo dokładnego wyposażenia masą szczegółów, całego jego zastanawiającego bogatego życia duchowego. Postać nieszczęśliwej, a raczej pani z IV piętra ulicy Filtrowej („Stasiek”), razi nas swą szlachetnością w porównaniu z takimi np. pyskатыmi babami, które nam autor mimochodem ukazuje w obrazie Polusa: postać ta czyni wrażenie wstrętu mechanicznego, jest potrzebna autorowi, ale nie opowiadaniu, jako pewnej całości kompozycyjnej.

Jak już powiedziałem, opowieści Dobraczyńskiego są echem okupacji niemieckiej, walki z wrogiem (mimochodem zaznacza, że nie są to nowe w klasycznym ich kształcie). Zagadnienie walki przybiera różne kształty, zależnie od środowiska ludzkiego i okoliczności. Całe jednak społeczeństwo prowadzi ją: podczas okupacji przedpowstaniowej, podczas powstania i po nim, w katakumbach warszawskich. Chociaż niepełnie całe. Mamy tu ludzi, którym ta walka jest absolutnie obca. Najprzód tych z „Polusa”, straszliwego domu przytułkowego, siedliska nędzy i wstępnego, ludzi, którzy nie rozróżniają dobra od zła. Dla tych ludzi znajdziemy usprawiedliwienie. Ale są in-

ni również, których reprezentuje żona konspiratora Zygmunta i lekarz Jedlicz. Pierwsza nienawidzi konspiracji, a potrosze i swego męża - konspiratora, bo jej ten biedak nie może przecież zapewnić wygodnych warunków, do których przywykła i od których nie może się odzwyczaić, nawet w obliczu powszechnej nędzy podokupacyjnej. Stąd jej predylekcja do Jedlicza, sprytnego kombinatora, zajętego poza lukratywną swą pracą zawodową konszachciami handlowymi z Niemcami. Obie te osoby są ustawione kontrastowo do Geni, proletariackiego dziecka z Polusa, które Zygmunta zdobywa dla sprawy, i do niego samego. Irena i Jedlicz symbolizują ten odłam naszej inteligencji, trudny do kwalifikacji ilościowej, który budzi do siebie odrzę Zygmunta „całą swą sztucznością, pozoram i fałszem”. Dla tych ludzi, wcielających w siebie styl życiowy kołtunerii burżuazyjnej, odgradzonej od całego świata murem swych drobnych przyjemności, zachcianek i snobistycznych upodobań, nikt rozsądny nie znajdzie chyba żadnego usprawiedliwienia. Kiedy Zygmunta po spowiedzi u św. Krzyża przychodzi do głowy myśl, że cała Warszawa jest jednym wielkim Polusem, jest jednym „straszny domem”, z pola jego świadomości znika na chwilę mikrokosmiczny „straszny dom”, leśna willa w Podkowie Leśnej, w której gnieździ się Irena i Jedlicz. W obliczu obcości duchowej dla siebie tych „strasznych domów”, po porażce swej w sztabie konspiracyjnym i po przejściu z żoną, pogrążony w głębokiej rozterce Zygmunta, wchodzi do jedyne miejsca, w którym mieszkają pokój i cisza, do kościoła św. Krzyża.

Tu się mieści zasadniczy problem ideologiczny tych opowiadań Dobraczyńskiego.

Zygmunta bowiem wbrew oczywistości nie znalazł „pokoju i ciszy”, nawet w kole najbliższych sobie ludzi, w sztabie konspiracji, który odrzucił jego artykuł o „szklanych domach” dla jego tendencji równoczesnej walki z wrogiem i z wadami ustroju społecznego, dla stwierdzenia w nim, że reformatorzy konspiracyjni mienią się katolikami, zapomnieli o tym, czego żąda od nich katolicyzm w swych konsekwencjach społecznych, przebudowy świata w duchu Chrystusa, czego początek jest w znalezieniu właściwego stosunku do człowieka. Tego politykierzy podziemi (nawiasowo dodam, znakomici w podchwyceniu swych śmieszności i ambicyjek), dla których wszystko kończy się na zwalczaniu wroga zewnętrznego, nie rozumieli. Nie stac-

ich przeto na przekroczenie wstępu i na decyzję rozpoczęcia krucjaty o przebudowę świata w duchu humanitaryzmu chrześcijańskiego. Dobraczyński dochodzi do odnalezienia źródła zła. Toteż jego Zygmunta nie wystarczy uszczęśliwienie ludzkości w płaszczyźnie dobrodziejstw technokratyzmu. „Nie w nędzy domów leży tragedia społeczna 20 wieku”. Leży ona w zdziwieniu stosunków ludzkich, które powodują, że przed paruset laty ludzie żyli lepiej, bo „ze świadomością Boga i praw Boskich”.

Jest to dziś prawda, która ma charakter truizmu. Nikt rozsądny nie łączy się już dzisiaj co do wartości tezy, wynalezionej przez racjonalistów osiemnastowiecznych o nieograniczonej postępie ludzkości. Condorcet nie miał racji, jak i jego późniejsi wyznawcy, łącznie z dziś nam współczesnymi. Pankracy z „Nieboskiej Komedii”, też nie miał racji, bo jego gigantyczne dzieło nie wyrosło z właściwego stosunku do człowieka, toteż jego wizja przyszłego szczęśliwego świata, który stworzy jego rewolucja, jest bez fundamentu.

Prawda opowiadań Dobraczyńskiego jest o tyle w tej chwili ważna, że wyraża ze świeżością, oryginalnego kształtu artystycznego, jaki tworzą te opowiadania. A to jest najważniejsze, jeżeli chodzi o utwór sztuki, który tworzy nie ideologia, ale właściwa wizja świata artysty. Świeżość tego kształtu nie traci chyba nic ze swej siły, skuteczności, choćby nawet problematyka głównej postaci opowiadania drugiego przypominała nam problematykę Żeromskiego. Bo jednak „żeromszczyzna”, jak słusznie zauważył jeden z konspiratorów, tkwi w postaci Zygmunta. To taki sam Don Kiszot, jak Judym, sam się zresztą tak określa. I to Don Kiszot, który ponosi klęskę w podobnych, co i Judym, okolicznościach. Ustawienie, montaż scenarii są podobne u obu autorów. Ale jeżeli Zygmunta ma być kontynuacją Judyma, jest to Judym, bogatszy o doświadczenie polskie — i nie tylko polskie — lat kilkudziesięciu, które mu pozwala dostrzec problem zasadniczy w naszym życiu, problem społeczny, w sposób właściwy i w sposób właściwy szukać nań lekarstwo.

Uzdrowienie naszego życia narodowego możliwe jest jedynie w płaszczyźnie humanitaryzmu katolickiego. Stwierdzenie tej prawdy w szlachetnej formie literackiej jest wielką zasługą opowiadań Dobraczyńskiego, dobrych pod względem artystycznym i wartościowych pod względem społecznym.

## Z zagadnień gospodarczych

### Nieznany kontynent

Słusznie bowiem nazwać można Australię nieznanym kontynentem, którym mało interesujemy się w Europie i z którym nikłe łączą nas kontakty. A jednak nie do pominięcia jest pozycja, jaką Australia zajmuje pod względem gospodarczym i politycznym na Dalekim Wschodzie. Nie chcemy zajmować dzisiaj uwagi czytelników analizowaniem znaczenia Australii jako bazy surowcowej, jako ważnego ośrodka gospodarczego oraz analizowaniem problemów politycznych i ekonomicznych, które wywołują się na tym tle. Wydaje się, że w pierwszym rzędzie rzucić należy okiem na obecny poziom i charakter cywilizacji, a więc na te wszystkie czynniki, którymi Australia tak bardzo różni się od cywilizacji nie tylko europejskiej ale i amerykańskiej. Ogół tych czynników decyduje bowiem o roli jaką Australia odgrywać będzie w przyszłości w ogólnosiwiatowym rozwoju stosunków politycznych i sojuszniczych. Na podstawie pełnej anachronizmów

fauny australijskiej oraz nielicznych już dzisiaj tubylców, będących chyba najbardziej prymitywnymi przedstawicielami rodzaju ludzkiego, przy puszczać można, że Australia jest jednym z najstarszych lądów świata. Pomimo tego nie znajdują się w Australii najmniejsze ślady jakiegokolwiek dawnej cywilizacji, której też prawdopodobnie nigdy nie było. Przybycie pierwszych kolonistów 160 lat temu zapoczątkowało okres rozwoju nowoczesnej już cywilizacji. Rozwój ten od samego początku kolonizacji był niezmiernie szybki. Ludność biała, licząca w 1788 r. 1000 osób osiąga w r. 1850 już 405 tys. Poczynając od połowy 19 wieku, to jest od chwili odkrycia kopalni złota imigracja z Europy stała się wzmagać tak, że w ciągu następnego dziesięciolecia zaludnienie Australii przekracza 4 miliony. Dokonywana w ostatnich dziesiątkach lat przemiana ma charakter gwałtowny i jest bez precedensu w historii, gdyż brak jej powiązania z przeszłością. Nagle

powstała cywilizacja australijska jest niczym nagle spostrzeżona oaza na pustyni.

Głównymi ośrodkami tej cywilizacji są miasta, położone na wybrzeżu wschodnim, a przede wszystkim Sidney i Melbourne. Obfitość żywności, duża zamożność mieszkańców — oto główne cechy, które sprawiają wrażenie dużego materialnego dobrobytu oraz wyrównanego poziomu dochodu indywidualnego.

Charakterystycznym dla Australijczyków są ich głębokie przekonania demokratyczne, nie tylko pod względem politycznym, ale i gospodarczym. Zasady demokratyczne zostają tu w pełni realizowane w praktyce, na każdym kroku codziennego życia. Odnosi się wrażenie, że obrona praw i przywilejów szarego człowieka nie wpływa jedynie z wypełniania pewnego obowiązku obywatelskiego i ogólnego wyrobienia polityczno-socjalnego, ale że jest czymś głęboko wrodzonym w psychikę przeciętnego Australijczyka. Nie odróżniać się od ogółu, być podobnym do otoczenia i żyć jak otoczenie, nosić podobną odzież, prowadzić taki sam

tryb życia i mieć podobne zwyczaje, traktować wszystkich jako równych sobie, jednym słowem unikać wszelkiej oryginalności i wyjątkowości, co nie może być dostępnym dla ogółu. — Oto cechy, które charakteryzują ludność ośrodków miejskich w Australii. Brzydota i trywialność architektoniczna miasta, masowa reklama, prasa, gremialny udział mieszkańców na wyścigach konnych i meczach piłki nożnej, które są ulubionymi rozrywkami mieszkańców, potwierdzają coraz wyraźniejsze kształtowanie się standaryzowanego typu człowieka w Australii. Zaryzykować można nawet twierdzenie, że w tworzeniu społeczeństwa bezklasowego Australijczycy zaszli dalej niż Rosjanie. Indywidualna ocena, czy też krytyka nie istnieją właściwie zupełnie i to bez względu na to, czy chodzi o dziedzinę sztuki, czy też problemy gospodarcze, lub polityczne. Ogół odnosi się do indywidualnej krytyki z nieufnością. Podobne jest nastawienie do specjalistów i fachowców, których uważa się za ludzi dążących do wyróżnienia i wywyższenia. Uznawana jest jedynie krytyka

masowa. Syndykat może się sprzeciwić rządowi, lecz robotnik, który opuściłby swój syndykat będzie uważany za zdrajcę.

Nieuniknionym korelatem braku indywidualizmu jest dominująca przewaga pierwiastka materialistycznego nad pierwiastkiem duchowym w sposobie ujmowania życia przez większość Australijczyków. Umysły wszystkich zaabsorbowane są w pier wszym rzędzie i dążą wspólnie do jak najwybitniejszego życia. Różnym byłoby jednak porównywanie dobrobytu materialnego Australii z dobrobytem panującym w Stanach Zjednoczonych. Trudno nawet mówić o luksusie w Australii. Opodatkowanie jest tak wysokie, że przeciętne zarobki po potrąceniu podatków nie przekraczają 1500 £ rocznie. Trudności mieszkaniowe podobne są do sytuacji, która panuje w tej dziedzinie w Europie. Ogólnie jednak stwierdzić można, że warunki materialne mieszkańców, a w szczególności warunki robotników są bez porównania lepsze, niż w Europie. Wy nagrodzenie jest znacznie wyższe, (Dokończenie na str. 10.)



# Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

8

Stefan Kisielewski (Kisiel)

Komisarz, przepychający się przez tłum w stronę ulicy Wielkich Wodzów przepełniony był dziwnym wrażeniem, że ten cały ruch miał jakiś wewnętrzny związek ze sprawą profesora Galarda. Tajemniczy łańcuch przyczyn i skutków łączył się tu, na tych ulicach — nie było wokół nic obojętnego dla tej niezwyklej sprawy, wszystko działało się przez nią, ona unosiła się w powietrzu, naokoło wędrującego pośród tłumy komisarza, jako jednego z aktorów całej historii. Mimowoli rozglądał się niespokojnie — wciąż jakby oczekiwał, że lada chwila ktoś go zaczepi. W pewnym momencie wrażenie, że coś się dzieje, że łańcuch dziwnych i groźnych wydarzeń opłata się go tu, na ulicy, że ktoś podąża krok w krok za nim, stało się niemal namacalne — po prostu czuł na plecach czyjeś oczy. — Śledzą mnie — pomyślał. Znał to uczucie. Nieznacznie obserwował ulicę poza sobą, nie zwalniasz kroku błędził wzrokiem po jezdni, po samochodach, zaciskając jednocześnie rękę na trzymanym w kieszeni rewolwerze. Nagle skrzyknął gwałtownie w pierwszą lepszą bramę, wbiegł w nią i paru susami rzucił się na najbliższą klatkę schodową. Dom był brudny i ruchliwy — hałaśliwe biura, magazyny. Po długiej chwili ostrożnie zeszedł na dół i wyjrzał do bramy. Jacyś mężczyźni wnosili właśnie ze stojącego na ulicy samochodu wielkie, ciężkie widocznie paki. Gromel stał pod ścianą i obserwował ich ponuro i nieufnie — pod palcami czuł zimną lecz rozgrzewającą się po trochu od jego dotknięcia stal rewolweru. Lecz mężczyźni zdawali się nie zwracać nań najmniejszej uwagi. Gromel wyminał ich i powoli wyszedł z bramy. — Zdawało mi się, jestem przedenerwowany — pomyślał i ruszył dalej. Lecz jednak coś tu nie było w porządku.

**Szczegóły podwójnej zbrodni w Dzielnicy Północnej! — wołali gazeciarze. — Komisarz Gromel tropi zbrodniarzy! Sensacyjne zamordowanie uczzonego!** Komisarz wcisnął kapelusz na oczy i szedł coraz prędzej, brutalnie rozpychając ludzi.

Ulica Wielkich Wodzów jest szeroka, hałaśliwa i — prawdę mówiąc — niezbyt czysta. Pełno tu magazynów, warsztatów, garaży — życie pulsuje z łomotem, hukem i gwizdem. Warsztat Hofmeistera był sporym placem, otoczonym zewsząd wysokimi, ceglanyimi murami. Stało tu parę aut — wraków, wały się porzucone narzędzia — w głębi był garaż i drewniany kantor z małym okienkiem. Gdy komisarz wkroczył na teren warsztatu, panowała tutaj zupełna pustka. Gromel rozejrzył się dokładnie, po czym ruszył powoli w stronę kantoru, nie wyjmując ręk z kieszeni. Nagle drzwi drewnianej budy otworzyły się i stanął w nich — niewątpliwie — sam szef. Był zaiste, jak mówił doktor, gruby i ordynarny — to nie ulegało wątpliwości. Gruby jak becinka, gorylowaty, nos złamany, stały skurcz twarzy, wyrażający ponurą, wściekłą niezyczliwość i permanentną gotowość do brutalnego gwałtu. — To mi dopiero piękny typ — pomyślał komisarz, zbliżając się krokiem powolnym ale sprężystym. Rękę miał ciągle w kieszeni.

— Czego? — warknął tamten, gdy Gromel był już o cztery kroki.

— Jestem z policji śledczej — powiedział sucho Gromel. — Pan Hofmeister?

Goryl strzyknął śliną niemal pod nogę komisarza.

— U mnie policja nie ma nic do roboty — głos jego przypominał pomruk szyciującego się do skoku drapieżnika.

— To się jeszcze pokaże. — Gromel zdawał się nie spozostawać groźnej postawy tamtego i zbliżył się jeszcze bardziej. Goryl splunął znowu — tym razem w bok.

— Czego pan tu chce? — ryknął niemal. Ja tu reperuję samochody — nie macie do mnie prawa!

— Mówiłem, że to się jeszcze pokaże — w głosie komisarza była groźba. — Ma-

cie odpowiadać na moje pytania — jestem komisarzem policji. Tu moja legitymacja.

— Czego pan chce? — warknął spokojnie nieco Hofmeister.

— Pan jest Hofmeister?

— Ja.

— Pan reperował tu w sobotę policyjną karetkę sanitarną?

— Może źle ją zreperowałem?!

— Nie o to idzie. Musi pan opowiedzieć mi, jak to się odbyło. Wejźmy w ogóle do środka.

Rozmowa z Hofmeisterem prowadzona w ciemnym, prowizorycznie skleconym baraku szła jak po grudzie, chociaż brutalny „szefer“ najwyraźniej nabral dla komisarza pewnej estymy. Mimo to odpowiadał jak z łaski, pogardliwie plując od czasu do czasu pod stół. Relacja jego pokrywała się z opowiadaniem doktora Reperowali koło, maskę i motor, doktor zatelegrafował, sanitariusze siedzieli w garażu, doktor wyszedł na ulicę, wrócił, jeszcze raz wyszedł, sanitariusze poszli na piwo — była wtedy jaka piąta, może po piątą.

„Komisarz nie spuszczał oczu z brutalnej twarzy „goryla“, który pod tym wzrokiem nie czuł się zbyt dobrze — kręcił się, krzywił coraz niechętniej i pluł coraz więcej.

— Pan tu ma pomocników?

— Teraz nie.

— Jakto — sam pan pracuje?!

— Sam.

— Dlategoście tak długo reperowali auto?

— Długo?! — wrzasnął nie panując już nad sobą Hofmeister. — Kto panu powiedział, że długo?! Patrzcie go — reperuj pan sam! Ważna mi policja! Długo!! Wmawiacie w ludzi co chcecie! Jazda stąd!!

— Powoli, powoli — komisarz był roztargniony i nie zwrócił uwagi na dzikie ryki „szefa“. — Więc pan reperował tylko sam z szoferem?

— To moja rzecz. Powiedziałem — dosyć tego!

Komisarz spojrzął nań zimno. — Jest pan głupim bydłem — przemówił nie podnosząc głosu. — Jeśli pan nie będzie odpowiadać po ludzku, — pójdzie pan zaraz za kratę.

— Za kratę?! Nie macie prawa aresztować człowieka bez powodu. — Hofmeister wywarczał to jednak nieco powściągliwiej.

— Prawo się znajdzie — mruknął znowu jakby nieobecny duchem komisarz. — Więc pan jest pewien, że reperacja nie trwała za długo?

— Reperacja trwała tyle, ile było trzeba — warknął tamten. A reszta...

„Szefer“ nie skończył, zmilkł i wpadł w ośpienie — za to komisarz się nagle ożywił.

— Mówi pan, że reperacja trwała krótko — wykrzyknął niemal — A więc — co wam zajęło tyle czasu?

— Nic takiego nie mówiłem. Trwała ile było trzeba. Jakiś reperowali, to pojechał! — więcej nie wiem — wychrypiął goryl i odtąd zaciął się w głuchym milczeniu. Wszelkie pytania komisarza nie odnosiły żadnego skutku — olbrzym zbywał je monosylabami.

Wreszcie Gromel wyszedł z baraku — Hofmeister kompletnie zbaraniały stapał za nim ciężko.

— Narazie dosyć — powiedział komisarz. Jutro jeszcze tu do pana przyjdę. Sądzę, że nie skończy pan własną śmiercią.

— „Szefer“ wymruczał coś pod nosem — komisarzowi wydało się, że słyszy słowo „gówno“. Puścił to mimo uszu i skierował się ku bramie. Goryl stał w miejscu, typiąc za nim ślepiami.

Od ulicy Wielkich Wodzów odchodził na ukos małe uczęszczana uliczka Ceglanych Domów — te ceglane domy to są magazyny z okratowanymi oknami. Komisarz postanowił skierować się owa uliczka, aby w ten sposób skrócić sobie drogę do Dzielnicy Północnej. Jak zawsze, gdy był zamyślony, szedł pieszko,

szybkim, elastycznym krokiem, z oczami utkwionymi w chodnik. Gdy był na skrzyżowaniu tej ulicy z najbliższą przeczną, usłyszał warkot zbliżającego się szybko auta — lecz warkot ten zaledwie dotarł do jego świadomości; machinalnie przyspieszył kroku i osiągnął przeciwny chodnik; ryk motoru stał się ogłuszający, gdy wreszcie Gromel zdecydował się podnieść głowę. W tej samej chwili, jakby iskry elektrycznej rażony uskoczył gwałtownie pod mur; auto szaleńcym łukiem wpadło na chodnik. Komisarz ostatnim kurczowym wysiłkiem przypłaszczył się do muru: śmierć! — zazgrzytało w nim przeraźliwie — poczuł silne pochłnięcie, jednocześnie zobaczył tylne koła zielonego auta, które oddalało się w szalonym pędzie i momentalnie, z wściekłym warknięciem motoru znikło za rogami.

Komisarz otarł kroplisty pot z czoła. Uderzenie było silne, ale żebra zachowały chyba całe. Śmierć przeszła od niego o włos. Paru przechodniów otoczyło go, kiwając głowami. Wszyscy stwierdzili, że auto jechało „jak zwariowane“ — szofer był chyba pijany. A teraz — szukaj wiatru w polu. Nikt nie dojrzał numeru. Gromel opanował się szybko, skinął głową przygodnym znajomym, otarł zachlapanym błotem płaszcz i postanowił wrócić do warsztatu Hofmeistera. W portfelu miał podpisaną przez Norda in blanco nakaz aresztowania — wystarczy go wypełnić. Ale chyba nie zrobi z niego użytku.

Goryl na widok powracającego komisarza zrobił wielkie oczy. Był schylony nad jakimś starym kołem, pomimo zimna zdjął wiatrówkę i stał teraz w koszu i spodniach tylko. Na obu, widocznych spod zwiniętych rękawów, potężnych ramionach wytatuowane miał wielkie ryby. — Czyżby były marynarz? — pomyślał z przelotnym zdziwieniem komisarz i zacisnął mocniej rękę na tkwiącym w kieszeni rewolwerze.

— Panie Hofmeister — powiedział — czy pan koniecznie chce dostać się na sporo latek za kratę? Nie powiedział mi pan prawdy. Czy to warto gnść w więzieniu dla paru nędznych groszy?

Hofmeister cofnął się, jakby ujrzał widmo.

— Skąd pan, skąd pan... mamrotał oszłomiony kompletnie.

— Wiem wszystko — odrzekł łagodnie komisarz. — Ale chodźmy do kantoru — niezbyt tu u was bezpiecznie — dodał, obrzucając okiem ceglane mury. — Czy widział pan może tu niedaleko zielone, amerykańskie auto?

Po upływie pół godziny komisarz ukazał się w drzwiach kantoru — za nim szedł uległy i zgarbiony „szefer“. Twarz komisarza była biała, widniał na niej rzadki u niego wyraz osłupienia i wstępu. Nie oglądając się na „szefa“ zdecydowanym krokiem wyszedł na ulicę i z automatyczną ostrożnością rozejrzył się wokół: ulica wrzała normalnym, wielkomięskim ruchem. Gromel przywołał taksówkę:

— Aleja Nauki, Zakład Chemii — powiedział szoferowi i rzucił się na poduszki.

IX.

Jadąc taksówką komisarz trwał ciągle w niezwykłym osłupieniu, wywołanym przez szczerą tym razem zeznania „szefa“. Czyż to możliwe? — oto pytanie, które zadawał sobie Gromel wiele razy. Lecz rzecz była nie tylko możliwa — była oczywista. Doktor Alen, jeden z najbliższych współpracowników i niewiele przyjaźnił komisarza, znany mu od lat przeszło dwudziestu, doktor Alen właśnie był zamieszany w aferę porwania zwłok profesora Galarda, co więcej, był — rzecz to prawie pewna — inicjatorem zamachu, dokonanego na Gromela pół godziny temu przez zielone auto. Natychmiast po zniknięciu złowrogiego samochodu komisarz zrozumiał wszystko

z absolutną pewnością — zrozumiał logikę i zrozumiał intuicją. Tylko Alen wiedział — dowiedział się tego z własnych słów komisarza, że ten, wyszedłszy od niego, uda się do warsztatu Hofmeistera. Doktor najwidoczniej nakazał natychmiast śledzić Gromela, stąd wrażenie komisarza na ulicy, że ktoś za nim podąża. Stwierdziwszy, że komisarz rzeczywiście udał się do warsztatu, doktor Alen i jego przypuszczalni współpracownicy, obawiając się najwidoczniej zeznań „szefa“, które mogły obciążać doktora, postanowili zgłodzić komisarza Gromela za pomocą zielonego auta. Gdyby istniały co do tego jakieś wątpliwości, musiały się rozwiązać po zeznaniach „goryla“. Hofmeister, zmuszony do tego za drugim razem przez komisarza zeznał, że naprawa auta trwała tylko pół godziny, godzinę natomiast oczekiwali na doktora, który gdzieś wyszedł. Przy wyjeździe doktor dał „szefowi“ spory napiwek, przykazując mu, aby o szczegółach reperacji nie opowiadał nikomu, nawet w wypadku, gdyby ten ktoś twierdził, że jest z policji, bo, jak powiedział doktor: „my jesteśmy policją“. Lecz to jeszcze nie wszystko: dziesiąt, na piętnaście minut przed przybyciem do warsztatu komisarza, Hofmeister odebrał telefon, prawdopodobnie od doktora, choć rozmówca nie podał nazwiska, przypominający mu o obowiązku milczenia i obiecujący za to większą sumę pieniężną. Tu już chyba wszelkie wątpliwości odpadają!

Chociaż otrząskany z różnymi najdziwniejszymi i najstraszniejszymi wydarzeniami, komisarz tym razem nie mógł przyjść do siebie. Jaki? — Alen, przyjaciel i kolega — zbrodniarzem, nastającym na jego życie?! Przecież to nonsens — w tym musi się kryć coś innego. Może polityka? — przeklęta polityka, która jednego już uczciwego człowieka sprowadziła na manowce zbrodni. Komisarz nie uznawał różnicy między zbrodnią polityczną a zbrodnią „zwykłą“. Motywy tu nie grają roli — tylko fakty. Mimo wszystkiego jednak trudno pogodzić się z faktem, że Alen, wcielenie prawości i sumiennosci, mógłby brać udział w zbrodni — choćby nawet mającej tło polityczne. Poszlaki wskazują na niego — ale ileż to razy niezbite poszlaki, wynikając w istocie z fatalnego zbiegu okoliczności, wskazywały na człowieka niewinnego? Chociaż nie — w tym wypadku według wszelkich praw ludzkiej logiki rzecz była niewątpliwa: Alen jest winien. Co dalej robić? — aresztować jednego z głównych współpracowników Policji Śledczej, bez porozumienia się z pułkownikiem Nordem niesposób. Przy tym przedczesne aresztowanie Alena mogło sploszyć jego współpracowników — z drugiej strony nie należało pozostawiać spodziewającego się ciosu zbrodniarza (jakże trudno oswoić się z tym słowem!) na wolności — wszak gotów próbować dalszych zamachów. Sytuacja arcytrudna; głos wewnętrzny jednak mówił komisarzowi, że należy jeszcze odwiec aresztowanie. W dodatku sprawa Alena dotyczyła porwania zwłok, nie wyjaśniała natomiast kwestii: kto zabił? Żywiąc od rana niejasne podejrzenia wobec doktora, komisarz Gromel rozmyślnie twierdząc odpowiadział na jego pytanie, dotyczące identyczności tych co zabił z tymi, co porwali ciało, w istocie rzecz się miała odwrotnie: Gromel był teraz prawie przekonany, że zabójstwa dokonał ktoś inny a porwania ktoś inny. Zresztą, choćby nawet tak nie było, trudno aresztować człowieka jedynie za przyczynienie się do porwania zwłok, nie mając żadnych danych co do zabójstwa — to nie godziło się z pojęciem dobrej roboty policyjnej — tak mógłby postąpić jedynie partacz. Komisarz, dla zbadania, jakie to wywrze na doktorze wrażenie, powiedział mu, że ma już koncepcję zabójstwa — w istocie nie miał jej jeszcze wcale. A więc — jak tu postąpić?

Taksówka wjechała już w Aleję Nauki, gdy komisarz przypomniał sobie jutrzejszą audiencję u ministra. To będzie odpowiedni moment, aby wyłożyć jako aut sprawę Alena i jednocześnie uzyskać instrukcje co do aresztowania go. Niech się tym zajmie policja polityczna. Narazie trzeba prowadzić dalsze śledztwo i — mieć się na baczności.

(C. d. n.)

## DOKOŃCZENIE ZE STR. 8

a co najważniejsze robotnik może mieć pod dostatkiem wszelkiego rodzaju żywności, która jest specjalnie tania w Australii.

Głównym problemem współczesnej Australii jest bez wątpienia zagadnienie ludnościowe. Ciekawą jest polityka „białej Australii” na tym odcinku, gdyż jest ona nie tylko polityką, ale linią przewodnią całego narodu. Jego nastawienie do ludności ras kolorowych, gdyż tego dotyczy „polityka biała”, podobnym jest do nastawienia białych w Afryce Południowej z tą jednak różnicą, że miast porać się z problemami rasowymi wewnątrz kraju, ostrożni Australijczycy zabraniając kolorowym wjazdowi do kraju nie dopuścili do zaistnienia problemu rasowego wewnątrz Australii. Nie dopuszczanie do imigracji kolorowych oparte jest na od dawna istniejącym prawie. Prawo to jest właściwie przykładem znanej hipokryzji anglosaskiej (a trzeba pamiętać, że większość mieszkańców Australii pochodzi z Wielkiej Brytanii). Nikomu bowiem nie zabrania się wprost imigracji do Australii, lecz każdy imigrant złożyć musi egzamin lingwistyczny, polegający na przetłumaczeniu na język angielski około 50 słów z jakiegoś innego języka. Nie ma więc nic łatwiejszego, jak nie dopuścić do kraju niepożądanego imigranta, jeżeli

np. egzaminujący każe przetłumaczyć tekst węgierskiej osobie nie znającej tego języka.

Od zmiany obecnego stanowiska Australii do problemów imigracji ras kolorowych, względnie jego utrzymania w przyszłości zależy będzie nie tylko rozwój stosunków społecznych i gospodarczych w samej Australii, ale i w tych wszystkich państwach, które cierpią na przeludnienie, a więc przede wszystkim Chiny, Indie, Japonia. Państwa te od dawna usiłują bezskutecznie przerwać australijski „mur migracyjny”. Emigracja nadwyżek ludnościowych z Chin i Japonii do Australii rozwiązałaby znakomicie trudności gospodarcze, gnębiące te kraje. Jednakże Australijczycy od początku swej kolonizacji przeciwni byli dopływowi ludności, należącej do ras żółtych. Uważali się i uważają dzisiaj za straż przednią Europy na wschodzie, za bastion rasy białej w morzu ras kolorowych. Przeciwno zezwoleniu na imigrację przemawia również argument gospodarczy - socjalny, na który często powołują się zwiazki za wodowe australijskie, będące głównymi przeciwnikami zwiększenia tą drogą ludności kraju. Większa ilość sił roboczych zmniejszyłaby istniejący obecnie olbrzymi popyt na czynnik pracy, a zmniejszając tym samym zarobki mogłaby prowadzić do

obniżenia poziomu życia. Trudno jest jednak uznać argumentację tę za rzeczowo uzasadnioną. Nie ulega bowiem kwestii, że zawzięte nastawienie Australijczyków do omawianego problemu powoduje ujemne konsekwencje dla nich samych. Duży brak robotników fizycznych, (którzy tysiącami w tym samym czasie wymierają z głodu w Indiach czy Chinach) jest dużym utrudnieniem w życiu codziennym Australii. Przykładem na to jest sytuacja kobiet zamężnych, które nawet w wypadku dobrych warunków materialnych zmuszane są cały swój czas poświęcić pracom domowym, począwszy od gotowania, a skończywszy na praniu i pielęgnowaniu dzieci. Australia zaszła pod tym względem jeszcze dalej, niż Stany Zjednoczone, z tą jednak różnicą, że w Australii brak tych udogodnień technicznych, które ułatwiają życie codzienne w Stanach Zjednoczonych. W rezultacie życie kobiet w Australii ogranicza się do wykonywania prac domowych, co zdaje się tłumaczyć ich dużą uległość w stosunku do mężczyzny i minimalną rolę, jaką odgrywają w życiu kulturalnym i społecznym.

Brak sił roboczych jest również jednym z poważnych hamulców w rozwoju produktywności kraju. Stwierdzić więc można, że Australijczycy w swej zawziętości i przy braku umiejętności kompromisowego rozwiązania tego problemu sami obniżają swój standard życiowy, przy

czym jasnym jest, że nie momenty gospodarcze, a tylko momenty rasowe decydują o ich nastawieniu. Głównym bowiem hamulcem jest obawa inflacji Australii przez żółtych oraz obawa, aby nie dopuścić do popełnienia błędów polityki amerykańskiej w stosunku do murzynów. Potrzeby gospodarcze Australii dały początek nowemu prądowi po ostatniej wojnie, a który polega na przyciągnięciu imigrantów z Wielkiej Brytanii i innych krajów Europy. Z uwagi na swe rozmiary imigracja z Europy nie może jednak zmienić zasadniczo istniejącego w tej dziedzinie stanu rzeczy, widocznie Australijczycy wolą sami ciężko pracować i sami korzystać z osiągnięć rozwoju gospodarczego kraju.

Pochodzenie, okres kolonizacyjny i obecne pracowite życie zrobiły z Australijczyków ludzi twardej i szorstkiej, lecz wytrwałych i dzielnych a przede wszystkim wysoce cenianych pracę. Warunki życia złożyły się na to, że brak jest w Australii klimatu podatnego dla rozwoju kulturalnego. Australia nie wydała dotychczas ani jednego geniuszu w literaturze, rzeźbie, czy muzyce. Spotkać tam można natomiast doskonałych lekarzy, architektów, inżynierów i dziennikarzy. Zapewne, że brak historii, folkloru, tradycji kulturalnych wpłynął na rodzaj zainteresowań i upodobań ludności. Nie można tu jednak pominąć poważnych osiągnięć w teorii i w praktyce rzą-

wienia państwem, w ogólnie panującej praworządności oraz w dziedzinie wychowania i kultury fizycznej. Australijczycy stanowią bez wątpienia odrębny typ człowieka białego, człowieka o usposobieniu niezależnym, kulturalnie prymitywnym, może zbyt zmaterializowanym, lecz wzamian za to zrównoważonego, gdyż pozbawionego górnolotnych ambicji. Ludzie tamtejsi są na ogół pełni optymizmu i wytrwałości w systematycznym dążeniu do stworzenia jak najlepszej przyszłości. Mogą być dumni, gdyż wyliczną ich zasługą są rezultaty kolonizacyjne oraz osiągnięcia dokonane w ciągu ostatniej wojny.

Trudno wreszcie nie Wspomnieć o obecnym stadium ewolucji uczuć Australii do Europy. Stadium to jest ciekawe, gdyż z jednej strony naród australijski odnosi się negatywnie do stanu zależności, w którym Australia znajduje się w stosunku do Europy dzięki swej przynależności do wspólnoty brytyjskiej, z drugiej zaś strony naród australijski czuje się z tą ostatnią sentymentalnie związany dzięki swemu brytyjskiemu pochodzeniu. Uczucie drugie jest jak dotychczas silniejsze. Fakt ten jest może dla każdego Europejczyka mało zrozumiany, gdyż trudno jest mu pojąć, że może istnieć naród, którego głównym motorem istnienia nie byłby nacjonalizm i uzyskanie czy też utrzymanie pełnej niezależności politycznej.

## Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwą miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

## DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę o łaskawe udzielenie mi trochę miejsca dla małej rozprawy z krytykiem p. Zygmuntem Lichniakiem.

Z wielkim opóźnieniem trafił do rąk moich numer 36 tygodnika „Dzisiaj i Jutro”, w którym nieznanymi mi i zapewne początkujący krytyk p. Lichniak atakując wydawnictwo tygodnika katowickiego „C. T. P.” dość dużo miejsca poświęca mojemu opowiadaniu „Partyzant Wisłocki”.

Nie negując prawa krytyki i przechodząc do porządku dziennego nad kwestią czy utwor mój podoba się p. Lichniakowi, czy też — nie, chcę jednak zaznaczyć, że w ciągu mojej prawie czterdziestoletniej pracy dziennikarsko-literackiej (w dwóch państwach i w dwóch językach) po raz pierwszy zdarzył mi się wypadek, że krytyk, nie przeczytawszy całości utworu, zaznajomiwszy się, jak sam przyznaje, tylko z końcowymi ustępami opowiadania (Nr 48 C. T. P.), zabiera głos w sprawie całości utworu, zaś z cudzego tekstu (streszczenia powieści, drukowanej w Nr 47 „C. T. P.”) i ze zwykłych błędów drukarskich wysnuwa wnioski ujemne dla autora, zarzucając mu zachwazczenie języka polskiego, błędy stylistyczne itp.

Katalog wartościowych książek wysyła bezpłatnie Księgarnia Wydawnicza MICHAŁ KOWALSKI Katowice, ul. Korfańtego 4

## KWITUJEMY:

na Fundusz Opieki nad grobami Żołnierzy bat. „Miotła” — dar w naturze.

Doprawdy nie wiem, jak to należy ocenić: niesumiennością pracy młodego krytyka, czy też może... „grafomanią społeczną” i „przykrym schorzeniem”, które przenikają nie tylko do literatury, lecz i publicystyki. P. Lichniak, jak widać, nigdy nie słyszał o tym, że streszczenie powieści drukowanej w poprzednich numerach tygodnika, robi redakcja, a nie autor, który zazwyczaj mieszka w innym mieście i często tylko z przysłanego mu numeru dowiaduje się o wydrukowaniu jego opowiadania, lub powieści. Nie można więc błęd językowy redakcyjnego reportera wciągać do hipoteki autorskiej.

Ubożnie zaznaczę, że wyraz „udały” zamiast „udany” jest oczywistym błędem katowickiego zecera, zaś rodzaj żeński, użyty przez reportera w streszczeniu („patrol niemiecki”) jest wyrazem „gwarowym”, używanym w kilku dzielnicach Polski. Tyle o cudzym tekście.

O tekście, za który już ja odpowiadam (o ile nie ma błędów zecerów) mogę powiedzieć, że i tu p. krytyk Lichniak rozprawił się ze mną zbyt bezceremonialnie, grzesząc jednocześnie nieścisłością, a niekiedy w zacieklonych osadach swoich wpadając wprost w śmieszność.

Czy p. Lichniak poważnie sądzi, że Aleksander Junosza-Gzowski, b. wicedyrektor i współpracownik szeregu pism i tygodników polskich („Prosto z mostu”, „Kultura” itd.), autor kilkunastu utworów beletrystycznych mógł napisać: „w oddziale leśnym Nr 2 stan liczebny przekraczał już czterdziestu osób”?

P. Lichniakowi nie przyszło nawet do głowy, że zecer pomylił się, a korektor nie poprawił. Jak widzę krytyk ten nigdy nie pracował w redakcjach pism i tygodników.

A teraz — pośmiać się trochę nam z panem wypadła, panie Zygmuncie... Nie podoba się Panu język partyzanta Wisłockiego? Mnie — też. Ale

gdymy przeczytał Pan Nr 47 „Co Tydzień Powieść”, to dowiedziałby się, że Wisłocki niemal całe życie swoje spędził poza granicami kraju (Rosja, Ameryka itd.). Z natury rzeczy polskim lingwistą on nie jest. Jednak częściowo chcę obronić swego bohatera. Słusznie powiedział on do Szczura:

— Aha! To major Szczęgieł uderza ich z tyłu!

Bo w jednym języku żołnierskim to „z tyłu” brzmi jak „w tyłek”, czyli... wie Pan... jak to często mawiał nasz nieboszczyk Piłsudski: „w d...”. Teraz rozumiał Pan?

Cóż złego w tym, że w zgłębku bitewnym Wisłocki wydał rozkaz:

— Chłopcy nazad!

Znowu nie podoba się Panu, że kapelan polowy odprawił z rana mszę św., a później — w dniu swego partyzantów — przysłał im trzy litry bimbru i dwie butelki wina. O co Panu tu chodzi?

Ze trochę za mało przysłał? Pewno, że na taką zgryzę trochę za mało, ale więcej nie miał. On był dobry i nie żalował dla chłopców ani picia, ani jadła.

Ale jeśli Panu, Panie krytyk, chodzi (co nie daj Boże!) o zasady trzeźwości wśród partyzantów, to powiem ze smutkiem, że nigdy Pan w lesie nie był.

Nie wiem dlaczego mowę pogrzebową majora Szczęgia przypisał Pan ks. kapelanowi? Chyba przez bardzo szybkie czytanie końca utworu.

A teraz — największe curiosum w Pańskiej krytyce.

W lesie „żyli — byli” Polacy, Rosjanie, Kałmacy, Żydzi itd. Chłopcy prości, mało piśmienni.

Razem układali oni naiwne, śmieszne, niepoprawne wierszyki („zaswierzbiała jego pięść”).

Ten, jak mówią Rosjanie — „hubok” odtworzył autor, a Pan wzięł to na serio. Może Pan i gwarę Wiecha poprawia? Co?

Twierdzi Pan, że w „C. T. P.” są „byłki” językowe. Może. To każdemu się zdarza. I Pan pisze np.: „Dywersanci literatury”. Śmiem twierdzić, że nie można pisać „Dywersanci literatury”, lub „Dywersanci katolicyzmu”. Należy natomiast pisać „Dywersanci w literaturze”, „w katolicyzmie itd. Pisze Pan też o „przykrym schorzeniu”. Czy według Pana schorzenie bywa i nieprzykre, przyjemne?

Sumiennie Panu mówię p. Lichniak, że tymczasem:

— On wzwyższon na wiesach

I najden oczeń logkim.

(„Na wagę wzięty on i waży bardzo mało”).

Ale to nic. Niech Pan pracuje. Czas wykaże, czy prace Pańskie to tylko „wypociny grafomana”, czy też — rezultat powołania społecznego.

Aleksander Junosza-Gzowski

## DO RED. „DZIS I JUTRO”

Z odległego od kraju skupienia emigracji polskiej, o której się obecnie wcale nie wspomina, tj. tych grup, rozsianych na Dalekim Wschodzie, największych w Mandżurii, a mniejszych w Chinach, odezwał się głos nabrzmiały głębokim bólem emigranta Polaka, Józefa Marcinkowskiego z Tientsina w Chinach Północnych.

Rzucony falą zmiennych losów jeszcze w r. 1915 na Daleki Wschód, dotąd marzeniem tylko wybiega do tej dalekiej, niedościgłej Ojczyzny, ale mowy swych ojców nie zapomniał, m. mo, że tkwi od lat 30 w tym chińsko - mongolsko - amerykańskim środowisku, jakim jest miasto Tientsin. List z Polski, pisany do kogoś z jego otoczenia nasunął mu nieprzewartą chęć odezwania się do rodaka z Polski, wyzalenia się, zaznaczenia, że nie tylko nie zapomniał języka ojczystego, ale starał się przy nim wytrwać, doskonalić go, nawet pisać... wiersze.

Jego własne słowa mówią za wszystkich komentarzy: „Piszę ten list, jako pomost przetrzucony w przestrze-

Józef Marcinkowski,

## PÓJDIEM WE DWOJE

rok 1940

Pójdziem we dwoje po zielonej trawie,  
Zmęczeni spoczniem na między pod gruszą,  
Gdy się przybliżysz do mojej twą duszą  
I w moje serce sercem wrośniesz prawie.

Pójdziem we dwoje po tej szarej ziemi,  
Po naszym grobie, w którym polskie kości  
Jęczą z tych grobów o sprawiedliwości  
O ludzkiej zbrodni o sumienia ciemni.

Pójdziem we dwoje w braterskim uścisku  
Przez nasze pola tęskniące za plonem,  
Wchłaniać krzyk braci męczonych przed zgro-  
Odrzebać zbrodnie z grobów popieliska,

Pójdziem we dwoje ma siostrę, królów!  
Do życia dźwignąć nasz naród zdrętwiały,  
Podźwigniem z prochów Polski cmentarz cały  
Ten w męczenniczej koronie cierniowej!

Pójdziem we dwoje wzięwszy się za ręce  
Zanieść do Domu naszej duszy czystość  
Ażeby dowieść światła Rzeczywistość,  
Co się w zjednania narodziła męce!

Pójdziem siostrę w naszej ziemi końce  
Siąc żywej wiary najcudniejsze kwiaty,  
Aż naszą Polskę przyodziewiem w szaty,  
Świętej Wolności! jaśniejącej słońcem!

Z poważaniem  
Tadeusz Szukiewicz.

Redagują: Jan Dobraczyński i Bolesław Piasecki.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz niedziel, wtorków i świąt, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-41006